

Urodził się w 1949 roku w Cardiff. Po ukończeniu studiów filozoficznych na University College w Londynie podjął pracę jako reporter w małej walijskiej gazecie. Pierwszą książkę napisał, by zdobyć środki na naprawę samochodu — a jego honorarium wyniosło zaledwie 200 funtów. Dopiero opublikowana w 1977 roku jedenasta powieść, „Igła” (której pierwsze wydanie ukazało się pod tytułem „Wyspa Sztormów”), przyniosła autorowi światową sławę. W USA została uznana za najlepszą powieść sensacyjną roku, a wkrótce na ekranach kin pojawiła się jej filmowa wersja z Donaldem Sutherlandem i Kate Nelligan w rolach głównych. Do dziś „Igła” uchodzi za najbardziej udaną książkę Folletta; doczekała się też przekładów na kilkanaście języków.

Kolejnych sześć powieści, m.in. „Trójka” (1979), „Klucz do Rebeki” (1980), „Filary Ziemi” (1989), „Noc nad oceanem” (1991) oraz sfabularyzowany raport z ogarniętego rewolucją Iranu — „Na skrzydłach orłów” (1983) — utrwaliły pozycję Folletta jako autora bestsellerów i przysporzyły mu milionów czytelników na całym świecie. Na podstawie „Klucza do Rebeki” i „Na skrzydłach orłów” powstały miniseriale telewizyjne.

Najnowsza powieść nosi tytuł „Niebezpieczna fortuna” (1993).

Oprócz literatury pisarz interesuje się muzyką (i grywa amatorsko w zespole rockowym) oraz historią średniowiecza, zwłaszcza dotyczącą katedr. Wraz z drugą żoną, Barbarą, mieszka w pięknym domu położonym nad Tamizą niedaleko centrum Londynu.

Ken FOLLETT

Niezwykła para

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tajemniczy wujek

— Nie miałem pojęcia, że mamy jakiegoś wujka Grigoriana — oświadczył Fritz Price.

— Śmieszne imię — dodała jego siostra bliźniaczka, Helen. — Jesteś pewien, że się nie przesłyszałeś, Baryła?

— Nie nazywaj mnie tak — zaprotestowali ich kuzyn.

Bliźniaki siedziały na niskim ceglany murku przed nadmorskim pensjonatem „Słoneczny Widok”, który prowadziła pani Price, ich matka. Tak naprawdę z pensjonatu nie roztaczał się specjalnie atrakcyjny widok, jeśli nie liczyć kilku podobnych do niego jak dwie krople wody hotelików po drugiej stronie ulicy. Ale dobiegał końca lipiec i dzień był rzeczywiście słoneczny.

Dzieci zjadły właśnie lunch i zastanawiały się, jak spędzić sobotnie popołudnie, a przy okazji obserwowały podjeżdżające pod pensjonat samochody, załadowane po bagażnik na dachu walizkami, składanymi leżakami, termosami, wiaderkami i łopatkami.

W gruncie rzeczy Helen i Fritz próbowali pod jakimś pretekstem pozbyć się towarzystwa Baryły. Był od nich o trzy lata młodszy i — jak to ujął Fritz — dokuczał im

wiecznie jak tłusty wrzód na tylnej części ciała. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżał na wakacje do „Słonecznego Widoku”, zaczynało się to samo. Z początku Helen i Fritz wychodzili z siebie, żeby traktować go jak najlepiej. Wieczorami, kiedy plaża była mniej zatłoczona, chodzili z nim razem popływać. W słoneczne dni grali z nim w krykieta, a w deszczowe w monopole. Ostatnio pokazali mu nawet swoją kryjówkę w jeżynach na urwisku, skąd można było podglądać króliki.

Ale już po kilku dniach zaczęli go ignorować. Był jeszcze taki mały! Urażony Baryła domagał się wówczas głośnym piskliwym głosem udziału we wszystkich zabawach i bliźniaki marzyły tylko o tym, aby się go pozbyć.

To właśnie zaprzętało ich myśli, kiedy wyszedł teraz z pensjonatu — zasiedział się jak zwykle dłużej niż inni przy lunchu — i oświadczył, że przyjeżdża wujek Grigorian. Podobnie jak większość rozmów z Baryłą, ta również zakończyła się szybko kłótnią na temat jego przezwiska.

— Mam na imię Jonathan — upierał się.

— Fritz nazywa się w rzeczywistości Richard — odparła Helen — ale wcale się nie skarży.

Fritz miał z przodu niesforny kosmyk włosów, które uparcie odmawiały podporządkowania się grzebieniowi. Nie lubił swego przezwiska, ale miał dość oleju w głowie, aby wiedzieć, że im więcej będzie się o nie wyklócać, tym częściej ludzie będą je powtarzać.

Niedawno jeszcze spędzał całe godziny przed lustrem, szciotkując włosy, skrapiając je wodą i smarując brylantyną, ale wszystkie te metody okazały się nieskuteczne. W końcu zapuścił długie włosy, uznał, że ze sterczącą

nad czołem czupryną przypomina trochę Roda Stewarta, i zaczęło mu się to nawet podobać.

— Poza tym ja nie mogę nic poradzić na moje włosy — powiedział — a ty naprawdę mógłbyś trochę schudnąć.

— Dobrze, w takim razie od dzisiaj będę miał nowe przezwisko — stwierdził z figlarnym uśmiechem Baryła.

— Jakie?

— Ringo Kid — oznajmił ich młodszy o trzy lata kuzyn, po czym wyjął z wyimaginowanej kabury wyimaginowany rewolwer, zastrzelił bliźniaków i pogalopował na wyimaginowanym koniu na tyły pensjonatu.

— Kurczę blade, jeszcze pięć tygodni tej męki — jęknął Fritz.

— Chodźmy dowiedzieć się czegoś więcej o tym wujku — zaproponowała Helen.

Zeskoczyli z murku i przecięli ogródek przed domem. W rzeczywistości nie był to żaden ogródek, lecz parking dla gości. Pensjonat roił się od przyjezdnych, którzy wnosili i wynosili bagaże, szukali łazienek oraz zaglądali do salonu telewizyjnego i jadalni. Helen i Fritz znaleźli mamę na górze. Ścieliła łóżko w jednym z pokoiów.

Miała na sobie nylonowy sweter i spodnie. Wyglądała w tym stroju dość pospolicie, ale kiedy się odpowiednio ubrała i umalowała, była całkiem atrakcyjną kobietą. Zawsze powtarzała, że ma dwadzieścia jeden lat, co zdaniem Fritza było czystą głupotą, bo każdy widział, że musi mieć co najmniej czterdzieści albo pięćdziesiąt.

— Popraw drugą stronę łóżka, Helen — powiedziała, kiedy tylko weszli. — Janice jest na dole, a pani Williams musiała wziąć sobie akurat wolne.

Janice i pani Williams stanowiły cały personel pensjonatu, jeśli nie liczyć Franka Cheesewrighta, który wykonywał różne naprawy, a w zimie zabierał panią Price do kina.

Helen zaczęła wsuwać prześcieradło pod materac, a Fritz starał się okazać użyteczny, przerzucając śmieci z jednego kosza do drugiego.

— Naprawdę przyjeżdża do nas ten wujek Grigo-rian?
— zapytała Helen.

— Tak, i mam nadzieję, że nie będzie chciał tu przemocować. I tak już jedna rodzina przywiozła więcej dzieci, niż się spodziewałam, i nie wiem, gdzie ich pomieszczę.

— Dlaczego nigdy przedtem nie słyszeliśmy o nim? — zapytał Fritz. — Gdzie on mieszka? Po co tutaj przyjeżdża?

Pani Price poprawiła poduszki i zaczęła słać drugie łóżko.

— Mieszka na farmie w Walii, ale nie mam pojęcia, co go tutaj sprowadza. Powiedział, że chce się z nami zobaczyć.

— Ale dlaczego nigdy przedtem o nim nie słyszeliśmy?
— powtórzył Fritz.

W tej samej chwili do pokoju weszła z filiżanką herbaty w rękę młoda ładna dziewczyna, tylko o kilka lat starsza od Helen.

— Och, Janice, niech cię Bóg błogosławi. Tego właśnie potrzebowałam — powiedziała pani Price, przysiadając na skraju łóżka i mieszając herbatę. Bliźniaki czekały cierpliwie, aż wyjaśni im sprawę tajemniczego wuja.

— Spotkałam go tylko raz — powiedziała. — To było po pogrzebie waszego ojca. Wy tego nie pamiętacie. —

Jej głos przybrał twardy, rzeczowy ton, jak zawsze kiedy mówiła o ich ojcu. Zginął w wypadku samochodowym. Byli wtedy bardzo mali, a pani Price kupiła pensjonat za pieniądze z jego polisy ubezpieczeniowej.

— Wasz ojciec nigdy nie pamiętał dobrze, ilu miał braci — podjęła. — Wiecie, że jego rodzina rozproszyła się w Polsce podczas wojny. Tatuś przybył tutaj w zasadzie jako sierota i nigdy nie otrzymał żadnej wiadomości od rodziny. Wujek Grigorian zobaczył nekrolog w gazecie i przyjechał na pogrzeb. Mieszkał wówczas na stałe w Niemczech, ale załatwiał właśnie jakieś interesy w Anglii.

Był dla mnie bardzo miły. Zaproponował pomoc finansową, ale pieniądze nie były mi wtedy potrzebne. Po pogrzebie nigdy go nie widziałam. Teraz wygląda na to, że przeniósł się do Wielkiej Brytanii i chce się z nami zobaczyć. Nie pamiętam nawet, jak dokładnie wygląda.

Po tych wyjaśnieniach, jak stwierdził później Fritz w rozmowie z Helen, wujek Grigorian stał się jeszcze bardziej tajemniczy.

Okazało się, że ma dziwne kciuki. Pierwsza zauważyła je Helen. Wyrastały nie z boku, ale z miejsca niedaleko podstawy dłoni. Kiedy zwróciła na nie uwagę Baryle, mały stwierdził zaraz, że wujek Grigorian pochodzi z kosmosu, i udał, że strzela do Fritza z wyimaginowanego laserowego miotacza.

Poza tym pan Grigorian nie różnił się jednak od zwykłego wujka. Raczej niski, ubrany w trzyczęściowy garnitur, miał brodę, wąsy i wesołe iskierki w oczach.

Fritza najbardziej zainteresował jego samochód, czerwony triumph. Twierdził, że ma wtrysk paliwa i zasuwają jak rakietę.

— Frank Cheesewright uważa, że każdy samochód jest tak samo dobry, jeśli tylko rusza, kiedy uruchomisz silnik, i nie zatrzymuje się, dopóki go nie zgasisz — powiedziała Helen.

— To dlatego, że ma tylko używanego forda i wie o samochodach jeszcze mniej niż ja — odparł Fritz.

Wiszącej w powietrzu kłótni zapobiegła Janice, która zawołała ich na podwieczorek. W „Słonecznym Widoku” rodzina jadła podwieczorek dość wcześnie, aby zdążyć przed kolacją dla gości, którą podawano o wpół do siódmej. Dzisiaj mama postawiła na stole szynkę i sałatkę — specjalnie na cześć wujka Grigoriana, który spalał też kilkanaście młodych ziemniaków.

Popijając herbatę i pochłaniając kolejne kromki chleba z masłem i miodem, opowiadał im o farmie.

— Właściwie położona jest na zboczu góry — oznajmił z uśmiechem. — Hoduję kilkaset owiec, których głównym zadaniem jest strzyżenie trawy. Trzymam także parę świń, które nie sprawiają większych kłopotów, dopóki nie uciekną. Piekielnie trudno je wtedy złapać.

Helen zachichotała na myśl o niskim, krępym wujku Grigorianie, który ugania się po podwórku za świnia zbiegłą z chlewu.

Po podwieczorku wuj zakasał rękawy, włożył kwiecisty fartuch i uparł się, że pozmywa naczynia. Dzieci, które pomagały sprzątnąć ze stołu, usłyszały, jak mówi do mamy:

— Zarezerwowałem na dzisiejszą noc pokój w Grandzie, przy głównej promenadzie.

— Przykro mi, że nie mogę ci zaproponować noclegu — odparła pani Price — ale mamy wszystkie miejsca zajęte.

— O tej porze roku to naturalne.

— W gruncie rzeczy pensjonat pęka w szwach. W tym tygodniu wiele bym dała za jakiś dodatkowy pokój. Nadal nie wiem, gdzie pomieszczę kilku gości, którzy zapowiedzieli swój przyjazd.

— Naprawdę? — Kłopoty mamy najwyraźniej bardzo zaciekały wuja. — Właściwie odpowiada to pewnym moim planom, naturalnie jeśli na nie przystaniesz.

Pani Price przestała nakładać do salaterek owoce z puszki i przyjrzała się uważnie wujowi.

— Zastanawiałem się właśnie — powiedział — czy nie mógłbym zabrać do siebie na kilka dni Fritza i Helen. Teraz, kiedy osiedliłem się w Wielkiej Brytanii, chciałbym ich częściej widywać i lepiej poznać. Nie będziesz musiała się nimi zajmować, a poza tym zwolnią tak potrzebną dodatkową sypialnię.

Mama najwyraźniej nie była do końca przekonana.

— Obawiam się, że bliźniaki nie mogą opuścić Jonathana. Przyjechał tutaj na wakacje i nie będzie grzecznie, jeśli teraz wyjadą i zostawią go samego.

— Baryła może pojechać razem z nami — oświadczył wujek Grigorian. — Nie miałem wcale zamiaru go zostawiać.

— Muszę zapytać siostry.

— Ma telefon?

— Tak. Zadzwonię do niej.

Kiedy mama poszła do telefonu, wujek Grigorian

odwrócił się do dzieci. Jego lekko obcy akcent stawał się wyraźniejszy, kiedy do nich mówił.

— I co wy na to? — zapytał. — Musicie powiedzieć, czy macie ochotę na tę wycieczkę. W końcu to tylko farma. Ale możecie pomóc wypasać owce, pojeździć na traktorze i powłóczyć się po okolicy. A jeśli będziecie mieli dość energii, moglibyśmy wybrać się na spacer w góry. Możecie zostać, jak długo chcecie. Kiedy tylko wam się znudzi, przywiozę was z powrotem.

— Brzmi to zachęcająco — oświadczyła Helen, która zawsze szalała za zwierzętami.

— Jestem za — stwierdził Fritz. Przejechałby tysiąc kilometrów, żeby móc pojeździć traktorem.

— Ja też — powiedział Baryła, który nie chciał, żeby ominęła go jakaś atrakcja.

Do kuchni weszła z powrotem pani Price.

— Matka Jonathana nie ma nic przeciwko temu — powiedziała. — Masz tam jakiś telefon, Grigorianie?

— Oczywiście. Dopilnuję, żeby dzieci dzwoniły do ciebie codziennie wieczorem.

— Nie muszą. Wystarczy, że będziemy w kontakcie. Kiedy chcesz wyjechać?

— Potrzebowałam, zdaje się, tej sypialni już na dzisiejszą noc?

— Tak, ale zarezerwowałam przecież pokój w Grandzie...

— Nie przejmuj się. I tak niezbyt mi się podoba ten hotel. Jeśli dzieciom pakowanie nie zajmie zbyt dużo czasu, możemy być na miejscu już o dziesiątej wieczorem.

I tak oto, całkiem po prostu, zaczęła się cała ta niewiarygodna przygoda.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nieźła farma... nieźły farmer!

Fritza obudziło beczenie owiec. Omiótł spojrzeniem białe ściany, niewielkie okienko i wielkie podwójne łóżko, w którym spędził noc, i przypomniał sobie wczorajsze wydarzenia.

Spakował swoją walizkę w rekordowym czasie, wrzucając do środka parę dżinsów, ciepłą kurtkę, kilka swettrów, bieliznę i gumki na wypadek deszczu.

Jazda triumphem była niesamowita. Wydawało się, że wujek Grigorian nie zwraca uwagi na ograniczenia prędkości, a na autostradzie igła szybkościomierza przekroczyła sto, trzydzieści kilometrów na godzinę.

Na farmie czekał na nich gorący napój i fura czekoladowych ciastek. Potem poszli spać. Jeśli wszyscy wujkowie w podobny sposób odnoszą się do limitów prędkości i do czekoladowych ciastek, pomyślał Fritz tuż przed zaśnięciem, nie zaszkodziłoby mieć więcej wujków.

Wyskoczył z łóżka i podszedł do niewielkiego okienka. W sypialni było chłodno, ale na dworze zaczynał się właśnie słoneczny dzień. Duży wiejski dom stał na zboczu i chociaż z pokoju Fritza trzeba było zejść po schodach

na parter, tylne podwórko znajdowało się dokładnie na poziomie sypialni.

Otaczały je stare, zaniedbane kamienne zabudowania. Za nimi wznosiła się porośnięta wysoką trawą niewielka góra — bądź też w zależności od punktu widzenia, duży pagórek.

Fritz podszedł do stojącej w kącie umywalki i spryskał twarz wodą — jeśli ktoś zapyta, będzie mógł odpowiedzieć, że się umył. Miał jednak przecucie, że wujek Grigorian wcale go o to nie zapyta.

Zszedł na dół i zobaczył, że wszyscy już wstali i zajądają śniadanie, które podała tęga żwawa jejmość, niejaka pani Rhys.

— Pani Rhys — wyjaśnił wujek Grigorian — zajmuje się domem, a jej mąż prowadzi farmę.

— Czym w takim razie ty się zajmujesz? — zapytał Baryła, który zawsze wyjeżdżał z takimi rzeczami.

Wujek Grigorian roześmiał się.

— Mam zamiar wam to wytłumaczyć w ciągu dzisiaj tego dnia — powiedział. — A teraz jedzcie.

Fritz doszedł do wniosku, że ludzie na farmach odżywiają się bardzo obficie. Pani Rhys podała mu wielki talerz, na którym znajdowały się trzy plastry bekonu, dwie parówki, dwa smażone jajka, pieczona fasolka, pomidory, grzyby i grzanki.

Podczas gdy dzieci kończyły śniadanie, wujek Grigorian zapalił wielką fajkę.

— Dzisiaj jest dzień niespodzianek — powiedział. — Ale najpierw muszę dotrzymać kilku obietnic. Fritz i Baryła nauczą się jeździć na traktorze, a Helen obejrzy owce.

Helen wspięła się po zboczu razem z panem Rhysem,

wysokim Walińczykiem w czapce i gumiakach, a Fritz i Baryła wyszli na podwórko.

Wujek otworzył drzwi stodoły i ich oczom ukazał się pomalowany na czerwono, zabłocony traktor. Grigorian posadził Fritza na siodełku, pokazał mu, jak wrzucić pierwszy bieg, po czym uruchomił silnik.

Fritz przesunął dźwignię do przodu i traktor wytoczył się powoli ze stodoły na podwórko. Po kilku sekundach bliźniak się zorientował, że zmierza prosto w stronę kamiennego muru. Przekręcił kierownicę — okazało się trudniejsze, niż się spodziewał — i ruszył dookoła podwórka.

Wujek Grigorian otworzył bramę i Fritz przez nią wyjechał. Zmieścił się jakoś między słupkami i ruszył pełną drogą. Reszta pobiegła za nim.

W końcu wujek dał mu znak, żeby się zatrzymał. Fritz przesunął do tyłu dźwignię.

— Teraz kolej Baryły — powiedział wujek. — Obróć tylko traktor. — Wdrapał się na metalowe siodełko i za wrócił na trzy razy. Wydawało się, że sprawia mu to taką samą przyjemność, jak Fritzowi.

Potem za kierownicą usiadł Baryła. Otrzymał instrukcje, ruszył z rozpromienioną ze szczęścia twarzą z powrotem w stronę farmy.

— Wydaje mi się, że można nim jechać szybciej — powiedział Fritz, kiedy pół idąc, pół biegnąc podążali z tyłu.

— Zgadza się. Pokażę wam kiedy indziej, jak przyspieszać — sapnął wujek Grigorian.

W tej samej chwili Baryła pochylił się i ujął drążek zmiany biegów.

— Nie ruszaj tego! — zawołał wujek.

Ale Baryła go nie słuchał. Traktor nagle przyspieszył. Baryła odchylił się do tyłu i o mało nie wypadł z pojazdu, który zjechał pod ostrym kątem z drogi i zaczął pięć się pod górę.

Wujek Grigorian puścił się za nim biegiem. Dogonił traktor, wskoczył na tylną ramę, sięgnął ręką obok Baryły i pchnął dźwignię do przodu. Traktor zwolnił i wjechał spokojnie na podwórko.

— Można na tobie polegać — syknął Fritz, kiedy Baryła zszedł z siodła.

Wujek Grigorian roześmiał się.

— Nie pokazałem ci ani hamulca, ani pedału gazu. Powinienem się domyślić, że sam go znajdziesz.

— Skąd mogłeś wiedzieć, jaki z niego gagatek, wujku — powiedział Fritz.

— Wiem o was więcej, niż się wam wydaje — odparł Grigorian.

Fritz miał już zamiar zapytać, co wujek przez to rozumie, kiedy nagle pojawiła się Helen.

— Owce są wspaniałe — oznajmiła. — Takie puszyste i skore do zabawy.

Wujek Grigorian klasnął w dłonie.

— Dobrze — powiedział. — Teraz chcę wam coś pokazać. Tędy, proszę.

Poprowadził ich przez podwórko do jednego z kamiennych budynków. Budynek był bez okien, miał porządne drzwi i wydawał się mniej zaniedbany od innych. Wuj przekręcił klucz w zamku, wpuścił ich do środka, zapalił światło i zamknął drzwi.

Pomieszczenie przypominało zwyczajne nowoczesne biuro. Podłoga wyłożona była szarym dywanem, ściany pomalowane na biało, a umeblowanie składało się z trzech foteli, biurka z maszyną do pisania, obrotowego krzesła i szafki.

— Co jest takiego nadzwyczajnego w zwykłym gabinecie? — zapytał Baryła, jak zwykle nie patyczkując się.

— Zobaczycie — odparł wujek.

Fritz zastanawiał się, dlaczego robi tyle hałasu wokół tego pomieszczenia.

— To tutaj właśnie pracujesz? — zapytał.

— Tak, można tak powiedzieć — odparł wujek. Najwyraźniej zdecydowany był zachowywać się tajemniczo.

Helen przyglądała się drzwiom.

— To dziwne — stwierdziła.

— Co takiego? — zapytał, podchodząc do niej, Fritz.

— Spójrz. Nie mogę wetknąć paznokcia w szparę między drzwiami a framugą. Muszą być bardzo ściśle dopasowane. Jak dostaje się tutaj powietrze?

Fritz przyjrzał się bliżej drzwiom, a potem ich dotknął. Jego palec zatrzymał się milimetr przed drewnem. Całe drzwi wydawały się powleczone cienką warstwą plastiku. Przesunął palcem po ścianie.

— To coś w rodzaju izolacji. Pokryty jest nią cały gabinet — zawołał.

— Zgadza się — potwierdził wujek Grigorian. — A teraz pozwólcie, że wam pokażę, do czego służy to pomieszczenie.

Otworzył szafkę. Zamiast jednak wyciągnąć szufladę, odsunął całą frontową ściankę, odsłaniając rząd przełącz-

ników i zegarów. Majstrował przy nich przez chwilę, a potem zamknął drzwiczki.

— Zauważyliście coś? Helen rozejrzała się dookoła.

— Pociemniały ściany — powiedziała.

— Chwileczkę. — Grigorian podszedł do wyłącznika światła. — Usiądźcie wszyscy. Nie chcę, żebyście po wpadali na siebie w ciemnościach. — Kiedy go posłuchali, zgasił światło. — Spójrzcie teraz w górę.

Zadarli głowy i zobaczyli nad sobą gwiazdy — miliony gwiazd, jaśniejszych i o wiele liczniejszych niż zwykle. Na niebie widać było coś jeszcze: wielką niebieską planetę, okrytą smugami chmur. Jej wąski sierp spowity był w mroku.

— Jesteśmy na Księżycu! — krzyknął podniecony Baryła.

— Nie opowiadaj głupstw — powiedział Fritz. — To tylko film: Ziemia widziana z kosmosu. Niewiarygodnie wyraźny.

— Jakie to piękne — szepnęła Helen.

Nagle Fritz coś zauważył.

— Ściany — powiedział.

— Są ciemne — potwierdził Baryła.

— Nie patrzcie na nie, lecz przez nie. Wyteżywszy wzrok, dzieci zobaczyły na zewnątrz szary poszarpany krajobraz, który przypominał nieco księżycową pustynię. W oddali majaczyły wzgórza.

— Mówiłem wam. Jesteśmy na Księżycu — powtórzył Baryła.

Wuj Grigorian zapalił światło i ściany zrobiły się z powrotem matowe. Zniknęły także gwiazdy, ale na suficie wciąż widać było Ziemię.

— Co o tym sądzicie? — zapytał.
— Bardzo sprytne — stwierdził Fritz, marszcząc brwi.
— Zastanawiasz się, jak to zostało zrobione?
— Tak. Z dachem i trzema ścianami to całkiem proste. Trzeba było tylko zamontować projektory za tą plastikową izolacją. Ale za frontową ścianą... tą, w której są drzwi... tam przecież jest podwórko.

— Wszystko to jest znacznie prostsze — oświadczył wujek Grigorian. — Jesteśmy rzeczywiście na Księżycu.

Fritz parsknął śmiechem. Tego rodzaju żartu można się było raczej spodziewać po Baryle.

— Nie sądzisz chyba, że ci uwierzymy? — zapytał.

— Nie, dopóki wam tego nie udowodnię — odparł poważnym tonem wujek Grigorian.

— Przejdźmy się na spacer — oświadczył Baryła. — W ten sposób się przekonamy.

— Oczywiście nie możemy tego zrobić — powiedział Fritz. — Nie możemy otworzyć drzwi... nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie się znajdują.

— Święta racja — potwierdził wujek Grigorian. Otworzył ponownie swoją szafkę, dokonał paru kolejnych manipulacji i nagle pojawiły się przed nimi z powrotem ściany i drzwi kamiennego budynku. — Przemieścimy się w jakieś inne miejsce.

Tym razem ściany nie pociemniały, ale obok drzwi pojawiło się okno.

Fritz wyjrzał przez nie.

— Trafalgar Square! — zawołał.

Wujek Grigorian znowu się uśmiechnął.

— Ściany są bardzo grube — powiedział Fritz. — Możliwe umieścić projektor gdzieś wewnątrz nich.

— Tutaj możesz wyjść — odparł wujek.

Fritz nie spuszczał z niego wzroku.

— Śmiało!

— Dobrze — zgodził się chłopiec. Trzeba położyć kres temu przedłużającemu się żartowi.

Otworzył drzwi, zrobił krok na zewnątrz i znalazł się na chodniku Trafalgar Square.

Stanął jak wryty z otwartymi ze zdumienia ustami. Był święcie przekonany, że wyjdzie na podwórko farmy. Serce waliło mu jak młotem, kiedy wpatrywał się osłupiały we wznoszącą się przed nim kolumnę Nelsona.

Zderzył się z nim mężczyzna w meloniku. Fritz przeprosił go, wziął się w garść i rozejrzał się uważnie wokół siebie. Po drugiej stronie kolumny Nelsona, dokładnie tam, gdzie powinna się znajdować, widniała fasada Galerii Narodowej. W uszach miał uliczny hałas, w nozdrza wpadał stęchły zapach londyńskiego powietrza.

Fritz zrobił jeden ostrożny krok do przodu, jakby chciał sprawdzić, czy chodnik nie ugnie się pod jego stopą. Nie wydarzyło się nic strasznego; znalazł się tylko o krok bliżej krawężnika.

Obrócił się, żeby zobaczyć, skąd wyszedł. Zamiast kamiennego budynku farmy zobaczył za sobą anonimowo wyglądające drzwi i przyciemnione okno, wciśnięte między witrynę sklepu a wejście do kina. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki i przechodząc obok, można było w ogóle nie zwrócić na nie uwagi.

Na najbliższym rogu, przy stacji Charing Cross stał mężczyzna, który sprzedawał wieczorne gazety. Fritz podszedł do niego, dał pięć pensów i wziął gazetę. To

było wydanie wyścigowe. Chłopiec spojrział na datę. Była dzisiejsza.

Raczej oszołomiony wrócił do drzwi, pchnął je i wszedł z powrotem do gabinetu wuja Grigoriana.

— No cóż — wykrztusił w końcu. — Jeśli możesz przenieść się do Londynu, potrafisz chyba również polecieć na Księżyc.

ROZDZIAŁ TRZECI

Moc

— W gruncie rzeczy łatwiej jest polecieć na Księżyc niż do Londynu — stwierdził wujek Grigorian. — Ten gabinet jest czymś, co wy nazywacie statkiem kosmicznym. Składa się z tej plastikowej obudowy — wujek pokazał ręką ściany — i zespołu napędowego, który mieści się w tej szafce. Przemieszczanie się jest dość łatwe... naciskam po prostu guzik i już jestem gdzie indziej. Muszę jednak dokładnie określić, dokąd chcę się przenieść.

— To najtrudniejsza część. Nie ma z tym takich kłopotów na Księżycu, gdzie nie muszę się martwić, że się z czymś zderzę. Ale żeby przenieść się tutaj, na Trafalgar Square, muszę podać precyzyjne koordynaty czasoprzestrzenne.

— Rozumiem — powiedział Fritz. — Przypuszczam, że najpiprw znalazłeś to pomieszczenie, wynająłeś je, zamknąłeś na klucz...

— Właśnie. Musiało być mniej więcej tej samej wielkości co mój statek kosmiczny, na wypadek gdyby ktoś chciał wejść, kiedy tutaj jestem. Gdyby między ścianami

statku a ścianami pomieszczenia istniała na przykład parocentymetrowa szpara, wszystko mogłoby się wydać.

— Czy przeliczasz za każdym razem koordynaty? Ziemia jest przecież w ciągłym ruchu.

— Nie jest aż tak źle. Po pierwszej podróży zamontowany tutaj komputer — wuj poklepał szafkę — bez przerwy aktualizuje dane.

Fritz był zafascynowany.

— Musisz więc tylko znaleźć pomieszczenie, które odpowiada z grubsza wielkości twojego statku, ustalić jego pozycję i wprowadzić dane do komputera. Potem możesz tam podróżować, kiedy tylko zechcesz. Czy samo przemieszczenie jest natychmiastowe?

— Na Ziemi praktycznie tak. Podróż w kosmosie zajmuje dość czasu, żeby ją zauważyć.

— Czy masz jakieś kryjówki poza Londynem i Walią? — zapytała Helen.

— Tak — odparł wujek Grigorian, wciskając inny przycisk. — Wyjrzyjcie teraz na zewnątrz.

Helen zobaczyła, że są teraz bardzo wysoko. Okno zrobiło się o wiele większe. Wszędzie wokół nich wznosiły się drapacze chmur.

— Nowy Jork — powiedziała, przypominając sobie obrazek z podręcznika geografii.

— Ściśle rzecz biorąc Chicago — sprostował wujek Grigorian. Nacisnął inny przycisk i zobaczyli kolejno Tokio, Caracas, Wiedeń, Petersburg i Hongkong, wszystko w ciągu zaledwie kilku minut. W każdym mieście okno miało odmienny kształt, a gabinet mieścił się na różnej wysokości. Czasami drzwi wychodziły na chodnik,

innym razem znajdowały się po przeciwnej stronie i prowadziły na korytarz, do windy albo na schody.

W końcu dzieci zawołały, żeby się zatrzymał.

—= Czuję się, jakbym zjadła za dużo lodów albo coś w tym rodzaju — powiedziała Helen.

— Jak to, u licha, działa? To znaczy, co napędza silnik? — zapytał Fritz.

— Nie mam pojęcia — odparł wujek. — Nie jestem fizykiem.

— W takim razie... — Fritz przełknął ślinę i zadał w końcu pytanie, które cisnęło im: się na usta. — W takim razie kim ty w ogóle jesteś, wujku Grigorianie?

Wujek nalegał, żeby zanim odpowie na to pytanie, wrócili do Walii i zjedli lunch. Gdy weszli do kuchni, zobaczyli na stole plastry zimnej pieczeni, dwa duże kawałki sera i kilka bochenków świeżego chleba. Zaskoczeni, że jest już druga po południu, nałożyli sobie na talerze i zabrali się do jedzenia.

— Powiedziałem już, że to będzie dzień pełen niespodzianek — oznajmił wujek Grigorian — więc oto niespodzianka numer dwa. Nie jestem wcale waszym wujkiem.

Wszyscy przestali jeść i wbili w niego wzrok.

— Potrzebowałem rodziny, żeby się z kimś związać, i wasza była wprost idealna. To jedna z tych nielicznych rodzin, w której progach ktoś może się pojawić, powie dzieć, że jest krewnym, i nikt nie może tego do końca sprawdzić. Po raz pierwszy, jak zapewne powiedziała wam matka, pojawiłem się dziesięć lat temu. Chciałem

spotykać się z wami o wiele częściej, ale porzuciłem ten zamiar, bo wkrótce potem zmienił się charakter mojej pracy.

— Na czym polega twoja praca? — zapytała Helen.

— Zrozumiecie to później. Na razie możecie nazywać mnie socjologiem.

Helen nalegała:

— Co się stało, że zmieniłeś zdanie... to znaczy, znowu związałeś się z naszą rodziną?

— Mój rząd powierzył mi specjalne zadanie. Potrzebujemy waszej pomocy.

Jak dotąd wszystko to nie wydawało im się zbyt sensowne.

— Skąd w takim razie pochodzisz? — zapytał Baryła.

Wujek Grigorian zawiesił na chwilę głos.

— Moja planeta — powiedział w końcu — nazywa się Klipst. Leży siedemnaście lat świetlnych stąd, niedaleko małej gwiazdy o nazwie Marn. — Przerwał znów, a potem się uśmiechnął. — To niespodzianka numer trzy.

— Śmieszne kciuki! — zawołała Helen i zaczerwieniła się.

— Baryła mówił, że pochodzisz z kosmosu — powiedział Fritz.

— Baryła ma czasem więcej racji, niż mu chcecie przyznać — rzekł wujek Grigorian. — Tak czy owak, opowiem wam lepiej wszystko, zanim zaczniecie się niepokoić. Powiedziałem, że jestem socjologiem, i jest to częściowo prawda. Studiowałem wiedzę o społeczeństwach. Ale pracowałem również dla rządu... rządu Imperium Galaktycznego. Przypuszczam, że określilibyście mnie

jako kogoś w rodzaju tajnego agenta. Do moich zadań należy obserwacja kilku planet, które znajdują się w przededniu podróży kosmicznych. Należy do nich również Ziemia.

— Przecież podróżujemy już w kosmosie — powiedział Fritz.

■— Nie, te raketowe próby w ogóle się nie liczą. Wasi naukowcy zabrnęli w tym miejscu jakby w ślepią uliczkę. Ale niedługo już odkryją hipernapęd. A kiedy to zrobią, nasz rząd będzie chciał wiedzieć, czy wasz świat może zostać przyjęty do społeczności innych planet.

— A jaka jest nasza rola? — zapytała Helen.

— W części galaktyki, którą nazywamy Sektorem Genicznym, doszło do pewnego sporu. Mój rząd chce pogodzić dwie strony, powierzając jego rozstrzygnięcie jakiemuś niezależnemu ciału, ale jak dotąd nie udało się znaleźć nikogo, kto byłby całkiem obiektywny. W końcu, nie widząc innego wyjścia, postanowiono, że trzeba zaangażować kogoś spoza Imperium.

Postanowiono również, że arbitrami nie mogą być dorośli... najwyraźniej bowiem nie ma dorosłego, który byłby zupełnie pozbawiony uprzedzeń. Podobnie jak na tej planecie, nasi politycy mają w zwyczaju rzucać ogólne hasła, a dopracowanie szczegółów pozostawiają innym. W ten sposób sprawa wylądowała na biurku mojego szefa, a on przekazał ją mnie.

— Czy chcesz powiedzieć, że mamy rozstrzygnąć jakiś kosmiczny spór, siedząc tutaj? — zapytał z niedowierzaniem Fritz.

— Nie będziemy tutaj siedzieć. Będziecie musieli pojechać ze mną na Palassan, która jest stolicą Imperium Galaktycznego.

— Kurczę blade! — zawołał Fritz. Nic innego nie przyszło mu po prostu do głowy.

— Nie jest to takie szalone, jak się wydaje — podjął wujek Grigorian. — Wiadomo dobrze, że młodzi ludzie mają bardziej wyostrzone poczucie sprawiedliwości niż dorośli — stwierdził z uśmiechem. — Przypuszczam, że nas, starszych, zahartowały po prostu bardziej przeciwności losu. Tak czy owak, to tylko dygresja. Możecie zostać u mnie dwa tygodnie, a cała wyprawa na pewno nie zajmie nam tak dużo czasu. Telefon na farmie połączy się z nami w dowolnym miejscu Mlecznej Drogi, będziecie więc w stałym kontakcie z waszą matką. Pytanie brzmi: czy macie ochotę tam jechać?

— Jasne! — odparł Baryła, smarując masłem kolejną kromkę chleba.

Fritz i Helen popatrzyli na siebie.

— Oboje chcielibyśmy wam pomóc — powiedziała Helen — ale nie jesteśmy pewni, czy potrafimy.

— Zostawcie mnie to zmartwienie — powiedział wujek Grigorian. — W ciągu ostatnich trzech miesięcy bardzo dużo się o was dowiedziałem. — Wiem, że jesteście bystrzy i uczciwi. Poza tym mam zamiar udzielić wam pewnej pomocy, nie mogę jednak powiedzieć, na czym ona polega, dopóki nie będę pewien, że chcecie jechać.

Fritz i Helen ponownie popatrzyli na siebie.

— Jedziemy — odparli jednocześnie.

— Powiedz, jak zamierzasz nam pomóc — dodał Fritz.

— Mam zamiar obdarzyć was Mocą — powiedział Grigorian. — To rodzaj psychicznej broni. Żeby ją uzyskać, będziecie musieli poddać się specjalnemu zabiegowi,

ale można go przeprowadzić podczas snu. Moc została odkryta całkiem niedawno. Jej zaaplikowanie jest niezmiernie kosztowne, toteż posiada ją tylko bardzo niewiele osób w całym Imperium Galaktycznym. Nawiasem mówiąc, ja do nich nie należę.

— Jak to działa?

— Nie sposób z góry przewidzieć. Krótko mówiąc, Moc potęguje wszelkie zdolności, które posiadaliście już przedtem. Jeśli, powiedzmy, mieliście talent do liczb, Moc uczyni z was genialnych matematyków. Na ogół jednak działa bardziej ogólnie. Mamy dane, które świadczą o bardzo różnych rezultatach. Do szczegółów przejdziemy, kiedy będziecie po zabiegu.

— Ja zostanę mistrzem kung-fu — stwierdził Baryła, wymachując w powietrzu rękoma.

Wujek Grigorian roześmiał się.

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Mogłoby to mieć dla nas wszystkich fatalne skutki.

— Od tego wszystkiego kręci mi się w głowie — stwierdził Fritz.

— Nic dziwnego — powiedział wujek Grigorian, wstając od stołu. — Możecie poddać się zabiegowi dziś w nocy, a jutro wyruszymy w drogę. A teraz, co powiecie na kolejną lekcję jazdy na traktorze?

Helen obudziła się z obolałym uchem. Przyłożyła do niego dłoń i poczuła pod palcami dziwny, podobny do słuchawki przedmiot, który poprzedniego wieczoru wujek Grigorian przykleił jej taśmą do skóry.

Usiadła na łóżku i rozejrzała się dookoła. Cała trójka spędziła noc w statku kosmicznym. Ich słuchawki pod-

łączone były do małego pudełka, które przypominało tranzystorowe radio. Kiedy Helen się rozglądała, obudzili się Fritz i Baryła.

— Te rozkładane fotele nie są zbyt wygodne — oznajmił ziewając Baryła.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł wujek Grigorian. Helen wciąż myślała o nim jak o wujku, mimo że nie był przecież ich żadnym krewnym. Niósł tacę, na której stały trzy szklanki.

— Dzień dobry, supermani — powiedział wesoło*. — Będziecie wszyscy potrzebowali tego napoju.

Płyn był ciepły, słodki i lekko pachnący. Helen wypila go do dna. Wujek Grigorian usiadł na skraju biurka. Sprawiał wrażenie podekscytowanego.

— Sprawdźmy teraz efekty zabiegu — powiedział. — Ty pierwszy, Fritz. Czujesz się jakoś inaczej?

— Niespecjalnie — odparł Fritz.

— Oczywiście, że czuje się inaczej — wtrąciła Helen. — Zaprzeczył, bo chce się najpierw dowiedzieć, jaki efekt wywarła Moc na mnie i na Baryłę. — Nagle zaczerwieniła się i przerwała, zawstydzona.

— Aha — mruknął wujek Grigorian. — A ty skąd o tym wiesz?

— Kiedy to powiedział, podniósł ramię i podrapał się w głowę. Skrzywił także lekko usta i...

— Wystarczy! — przerwał jej wujek Grigorian. — Jesteś Interpretatorką. Potrafisz powiedzieć, co czują ludzie, ledwie na nich spojrzysz.

— Potrafi czytać w myślach? — zapytał z zazdrością Baryła.

— Nie. Ona nie czyta w myślach, ale rozumie mowę ciała. Istnieje cała gałąź wiedzy, która zajmuje się inter-

pretacją wykonywanych przez ludzi drobnych gestów: pocierania nosa, skubania brody, sposobu, w jaki stoją, wkładają ręce do kieszeni, wszelkich tego rodzaju rzeczy. Już przed zabiegiem Helen musiała być całkiem dobra w zgadywaniu, co myślą ludzie. Teraz wie to na pewno.

— Zgadza się. Jesteś, jak widzę, zazdrosny — stwierdziła dziewczynka.

Wujek Grigorian roześmiał się.

— Musisz nauczyć się tolerancji. Oczywiście, że jestem zazdrosny. Nie rozumiesz, jak wiele skorzystałbym jako socjolog, gdybym mógł zostać Interpretatorem? Ale wróćmy do twojego brata.

— To nie jest nic nadzwyczajnego — stwierdził Fritz. — Ale gdy się kładłem wczoraj spać, myślałem długo, jak dostaniemy się na Palassan. W końcu nawet gdybyśmy podróżowali z prędkością światła, zajęłoby nam to kilkanaście lat.

— A dziś rano?

— Teraz po prostu rozumiem, jak to działa. Trudno to wyjaśnić...

— Spróbuj.

— No więc dobrze. Wyobraźcie sobie małe, bardzo płaskie stworzenie. Jest tak mikroskopijne i głupie, że nie potrafi przyswoić sobie, co znaczy góra i dół. Odróżnia tylko ruch do przodu i do tyłu, ruch w prawo i w lewo. Nigdy nie porusza się w górę albo w dół, nie jest w stanie unieść wzroku i rozumuje tylko w dwóch wymiarach.

Powierzchnia, na której żyje, przypomina prześcieradło. Prześcieradło może być płaskie, ale może też być złożone. Przypuśćmy, że jest złożone. Nasze stworzenie nigdy tego nie odkryje.

Nasze stworzenie przez całe życie porusza się po powierzchni prześcieradła, nigdy nie uświadamiając sobie, że ponieważ prześcieradło jest złożone, może pójść na skróty, robiąc dziury w materiale.

My wszyscy jesteśmy podobni do tego stworzenia, tyle że zamiast w dwóch, rozumujemy w trzech wymiarach. Ale przypuśćmy, że przestrzeń jest złożona w czwartym wymiarze? Wtedy możliwe będą skróty poprzez wiercenie dziur w trójwymiarowej przestrzeni. — Fritz na chwilę przerwał. — Teraz, kiedy to powiedziałem, nie wydaje się to już takie jasne — dodał.

— Nie szkodzi — pocieszył go wujek Grigorian. — Wiemy już, kim jesteś. Jesteś Syntetykiem. To znaczy, że potrafisz przyjrzeć się faktom i połączyć je szybko w spójną całość. Możesz spojrzeć na silnik i zorientować się natychmiast, jak działa. Możesz spojrzeć na szachownicę i domyślić się, jaką strategię obrał każdy z graczy.

Fritz wyjął z ucha słuchawkę i położył ją ostrożnie obok czarnego pudełka.

— Nie jest to ten rodzaj Mocy, jakiego się spodziewałem — stwierdził. — Muszę przyznać, że nie wydaje się zbyt praktyczny.

— Wkrótce się przekonasz, jak bardzo ci się przyda. A co ty nam powiesz, Baryła?

Jonathan nie miał zbyt wesołej miny.

— Uderzyłem właśnie kantem dłoni w poręcz krzesła, ale rozbolała mnie tylko ręka — powiedział. Bliźniaki roześmiały się.

— Nie czujesz się w żaden sposób odmieniony?

— Nie.

Wujek Grigorian zmarszczył brwi.

— To ciekawe — mruknął, po czym otworzył szufladę biurka i coś z niej wyjął. Przedmiot miał kształt i wielkość tenisowej piłki i pokryty był gładkim błyszczącym futerkiem, które przypominało trochę foczą skórę.

— Łap — powiedział wuj, rzucając tajemniczą piłkę Baryle.

Jonathan złapał ją, pogładził po futerku i położył sobie na ramieniu. Piłeczka przylgnęła natychmiast do zagłębienia w jego szyi, zmieniając lekko kształt.

— Nazywa się Glob — oznajmił Baryła.

— Tak myślałem — powiedział wuj Grigorian. — Jesteś Ekscentrykiem. Oni zawsze mają słabość do zwierzokulek.

— Czy mogę ją zobaczyć? — zapytała Helen. Wzięła zwierzokulkę z ramienia Baryły i uważnie jej się przyjrzała. Pokryta futerkiem powierzchnia nie miała żadnych szczelin.

— To po prostu futrzana kulka — powiedziała, podając ją Fritzowi.

— Naszym zdaniem to zwierzę — oświadczył wuj Grigorian. — Pochodzi z dziwnej planety położonej na samym skraju galaktyki. Nikt nie wie, jak zwierzokulki egzystują: nie mają żadnego otworu gębowego ani nawet oka... a jednak żyją. Ludzie trzymają je jako domowe zwierzątka. Zwierzokulki pewnych ludzi lubią, a innych nie. Kiedy ktoś nie cieszy się ich sympatią, spadają mu po prostu z ramienia. Ludzie obdarzeni Mocą Ekscentryka mają z nimi bardzo dobry kontakt. Widzieliście, jak Baryła natychmiast się zorientował, że trzeba zwierzokulkę położyć sobie na ramieniu i że nazywa się... jak powiedziałaś, Baryła?

— Glob.

— Skąd wiedziałeś?

— Nie wiem. Samo przyszło mi do głowy.

— Więc jaki w końcu rodzaj Mocy otrzymał Baryła? — zapytał Fritz, podając zwierzokulkę Jonathanowi, który położył ją sobie z powrotem na ramieniu.

— Najbardziej osobliwy ze wszystkich — odparł wujek Grigorian. — Ma on coś wspólnego z jego dziwnym zwyczajem mówienia i robienia rzeczy, których się nikt nie spodziewa i które często okazują się trafne. Może nie używać swojej Mocy przez całe miesiące. Ale kiedy to robi, gwarantuję wam, że będziemy mu wdzięczni. Tymczasem zaś ma zwierzokulkę.

Wuj wziął tacę i ruszył do drzwi.

— Zostawiam was, żebyście się przebrali. Śniadanie jest prawie gotowe. Aha, i jeszcze jedno. W Imperium obowiązuje coś w rodzaju języka urzędowego. Mówią nim wszyscy mieszkańcy cywilizowanych planet i nawet na tych bardziej prymitywnych uczy się go w szkołach. Przypomina trochę ziemskie esperanto.

— Och! — zmartwiła się Helen. — Jak się go nauczymy?

— Nauka wchodziła w skład waszej nocnej kuracji. Już go znacie. Mówiliśmy nim przez ostatnie pół godziny — oświadczył z uśmiechem wujek, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Skok w nadprzestrzeń

Po śniadaniu bliźniaki i Baryła spakowali na nowo walizki i przenieśli je do gabinetu. Wujek Grigorian powiedział pani Rhys, że nie będzie ich przez parę dni i że zatelefonuje. Potem, kiedy poszła do swojego domu, wstawił samochód do garażu i zamknął drzwi na klucz.

— Wszystko gotowe? — zapytał, wchodząc do gabinetu. Cała trójka pokiwała z niecierpliwością głowami. Wuj otworzył szafkę i nastawił przyrządy.

— Podróż zajmie nam prawie godzinę — powiedział. — Będziemy musieli dokonywać zarówno krótkich skoków w zwyczajnym kosmosie, jak i skoków w nadprzestrzeni... czyli w tym, co Fritz nazywa czwartym wymiarem. Same skoki trwają bardzo krótko. Tym, co nas opóźnia, są przerwy między nimi. No, właśnie wystartowaliśmy.

Zamknął drzwiczki szafki i odwrócił się do nich. Nie mieli wrażenia, że się poruszają, i przez moment Helen zaczęła się obawiać, czy coś nie poszło źle. Ale kiedy spojrzała na ściany, zobaczyła, że kamienny budynek zniknął i po drugiej stronie przezroczystego plastiku

widać tylko bardzo głęboką czerń. Patrzyła dalej, a obraz znów się zmienił. Przez jedną ze ścian widać było teraz odległe Słońce, a przez sufit planetę koloru piasku, która sprawiała wrażenie wymarłej.

Zmiany następowały zbyt szybko, żeby przyjrzeć się rzeczom, które pojawiały się za ścianami gabinetu, a właściwie wokół statku kosmicznego. Po chwili dała za wygraną i spuściła wzrok.

Wujek Grigorian zaproponował kilka gier dla zabicia» czasu. Najpierw wyjął szachownicę i ogłosił turniej. Niestety okazało się, że Fritz, zanadto się nie wysilając, potrafi teraz pokonać wszystkich, z wujkiem Grigoria-nem włącznie.

W biurku była również gra Monopole, ale nie mieli na nią dość czasu, podzielili więc między siebie sprawiedliwie pieniądze i zaczęli grać w pokera. Tym razem wszystko psuła Helen — zawsze wiedziała, kiedy ktoś blefował.

Rzucili więc karty i zaczęli zasypywać wujka Grigoria pytaniami. Nie chciał im nic powiedzieć na temat sporu w Sektorze Genicznym, obawiał się bowiem, że wyrobią sobie przedwcześnie jakieś zdanie o sprawie. Opowiedział jednak trochę o sobie.

— Czy Grigorian to twoje prawdziwe nazwisko? — zapytała Helen.

— Tak. Brzmi trochę wschodnioeuropejsko, nieprawdaż?

— A twój akcent?

— To akcent klipstyjski.

— Czy nigdy nie zdradził cię podczas pobytu na Ziemi?

— Nie. Jeśli ktoś urodził się w Polsce, dojrzał w Niemczech i mieszka teraz w Walii, nikt nie ma pojęcia, jaki powinien mieć właściwie akcent.

— Dlaczego zostałeś tajnym agentem?

— Było kilka powodów. Po pierwsze, jestem trochę samotnikiem. Klipst jest dużą planetą, niezbyt jednak gęsto zamieszkaną, w związku z czym nie jesteśmy zbyt towarzyscy. Ale główną przyczyną było to, że jestem taki wysoki.

— Wysoki? — zdziwił się Baryła. — Przecież jesteś niemal karłem.

— Nie bądź niegrzeczny, Baryła — zwróciła mu uwagę Helen.

— Nic nie szkodzi — odparł ze śmiechem wujek Grigorian. — To kolejna rzecz, o której wam jeszcze nie powiedziałem. Mieszkańcy Ziemi należą do najwyższych w całym wszechświecie. Większość ludzi tam nie przekracza metra pięćdziesięciu centymetrów. Na Ziemi mogą wydawać się niski, ale jak na normy galaktyki, jestem dość wysoki. Co nawiasem mówiąc oznacza, że na Palas-san nie będziecie się różnić wzrostem od dorosłych.

Patrzyli na ściany. Czasami migały im przed oczyma osobliwe istoty i dziwne miasta, ale obraz zawsze się rozmazywał, zanim mogli mu się dobrze przyjrzeć.

Kiedy nareszcie świat na zewnątrz stanął i trwał przez chwilę nie zmieniony, domyślili się, że znajdują się na Palassan.

Przez przezroczystą tylną ścianę zobaczyli brodatego mężczyznę, trochę niższego od Helen i trochę wyższego od Fritza. Przez chwilę czekał na zewnątrz, a potem pchnął segment ściany i wszedł do środka.

— To jest pan Loman, Kontroler Strefy Peryferyjnej w rządzie Imperium Galaktycznego — powiedział wujek Grigorian. — Panie Loman, przedstawiam panu Helen, Fritza i Baryłę.

Wszyscy uścisnęli sobie dłonie.

— Nawiasem mówiąc, nazywam się Jonathan — powiedział Baryła.

Helen czuła, że serdeczność pana Lomana to tylko pozór. W głębi duszy trochę obawiał się dzieci. Najwyraźniej wiedział, że obdarzone są Mocą.

— Mamy już dla was gotowe kwatery — powiedział, zacierając ręce. — Możemy iść. — Wyprowadził ich ze statku kosmicznego na zewnątrz, a potem skręcił w boczny korytarz i otworzył drzwi.

Znaleźli się na dworze. Niebo nad ich głowami było czyste, słońce małe i gorące. Fritz zauważył, że nad horyzontem wisi wielki blady księżyc.

Znajdowali się w czymś w rodzaju parku. Pośród trawników stały niskie jednopiętrowe budynki, połączone ze sobą wąskimi ścieżkami. Przypominało to trochę Fri-tzowi bazę RAF-u, którą kiedyś odwiedził.

— Nie wygląda to na stolicę galaktyki — zauważył Baryła.

— Czy podobnie wygląda cała planeta? — zapytał Fritz.

— Podoba mi się zapach trawy — powiedziała Helen.

— Nie spodziewaliście się chyba, że Palassan będzie przypominała Londyn? — zapytał wujek Grigorian, kiedy ruszyli wysypaną różowym żwirem ścieżką. — Wieżowce, uliczne korki i zatłoczone miasta od dawna należą już u nas do przeszłości.

— Rządy nad galaktyką należą do najważniejszych czynności, jakie można sobie wyobrazić — dodał pan Loman. — Muszą być sprawowane w idealnych warunkach. Spokój i cisza, trawa i drzewa. To wszystko pomaga rządzącym zachować jasność umysłu.

— Oczywiście mamy tutaj również fabryki i elektrownie, ale umieszczamy je wszystkie pod ziemią, żeby nie psuły widoku. I nie potrzebujemy dróg. Ludzie tacy jak Grigorian i ja... a teraz również i wy... poruszają się wszędzie za pomocą hipertransu. Tak nazywamy pojazd, którym tutaj przybyliście.

— A ludzie, którzy pracują w fabrykach i elektrowniach? — zapytał Fritz.

— Dla ich potrzeb stworzyliśmy pod ziemią superszybki system transportu mechanicznego — odparł zdawkowo pan Loman, tak jakby chciał im dać do zrozumienia, że w gruncie rzeczy nie powinno ich to obchodzić. Wszystko tutaj wydaje się bardzo miłe dla rządzących, ale niekoniecznie dla zwykłych ludzi, pomyślał Fritz, lecz nie powiedział tego na głos.

Ścieżkami spacerowało dość dużo osób, ludzie wchodzili i wychodzili z domów. Wszyscy uśmiechali się i kiwali przyjaźnie głowami, mijając dzieci.

Pan Loman zatrzymał się przed niskim budynkiem.

— Musimy zrobić wam zdjęcie do serwisu informacyjnego — powiedział. — Wstąpmy tu na chwilę.

Weszli do oświetlonego rzęsście przestronnego holu. Blask sztucznego oświetlenia zrazu ich oślepił. Kiedy oczy przyzwyczyły się do światła, spostrzegli, że w środku jest kilkunastu niskich ludzi. Większość obsługiwała jakiś sprzęt — Fritz zgadł, że są to kamery i inne tele-

wizyjne urządzenia. Wszystko było o wiele mniejsze niż na Ziemi. Ani śladu reflektorów czy potężnych statywów pod kamery, żadne urządzenie nie było też podłączone do kabla.

Jeden z redaktorów ustawił odpowiednio całą piątkę i poprosił Fritza, żeby uścisnął dłoń pana Lomana. Przez kilka minut terkotały kamery, a potem z powrotem znaleźli się na dworze.

— Jesteśmy znanymi osobistościami — zauważył Baryła. — Czy nikt nie chce przeprowadzić ze mną wywiadu?

Pan Loman uśmiechnął się.

— Wydaje mi się, że powinniśmy wam tego oszczędzić.

Helen zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób ludzie odnajdują tutaj właściwą drogę. Wszystkie zabudowania i ścieżki wyglądały na takie same i nie było ani jednego drogowskazu.

Z budynku przed nimi wyszła nagle jakaś dziewczyna. W rękach trzymała bukiet jaskrawych purpurowych kwiatów. Helen bardzo się spodobały.

Dziewczyna musiała to zauważyć, bo wyciągnęła jeden w jej stronę.

— Pasuje do ciebie ten kolor — powiedziała z uśmiechem. — Może zechcesz go przyjąć?

Nagle Jonathan skoczył do przodu i wytrącił kwiat z ręki dziewczyny.

— Baryła! — zaprotestowała Helen.

Kwiat upadł na ziemię i nieoczekiwanie zabrzęczał, tak jakby się w nim coś stłukło.

— Tak mi przykro — powiedziała Helen do dziewczyny.

Pan Loman mruknął coś, co przypominało przekleństwo. Fritz podniósł kwiat i obrywał płatki. Wewnątrz znajdowało się jakieś elektroniczne urządzenie.

Dziewczyna weszła z powrotem do budynku.

Wujek Grigorian odsunął na bok Helen i otworzył drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna. W środku nie było po niej śladu.

Pan Loman wyjął z kieszeni skórzany przedmiot wielkości pudełka zapalek i zaczął do niego mówić.

— Młoda kobieta średniego wzrostu, włosy jasno-blond, typ fizyczny humanoid Centralnego Systemu, ubrana w zieloną kurtkę, niesie bukiet kwiatów Narchusa. Aresztować i zatrzymać do wyjaśnienia.

— Co się tutaj dzieje, do licha? — zapytała Helen.

Fritz pokazał jej stłuczone wnętrze kwiatu.

— Wygląda to jak głośnik podłączony do radia — powiedział.

— To szeptacz — stwierdził wujek Grigorian. — Powtarza bez końca jakąś wiadomość, hipnotyzując ofiarę. Nie możesz jej usłyszeć, ale wnika w twoją podświadomość. W końcu zaczynasz w nią wierzyć.

Fritz pokiwał głową.

— Ktoś chciał zahipnotyzować Helen, żeby poparła jego stanowisko w sporze.

— Ale kto?

— Dowiemy się, jeśli uda nam się złapać dziewczynę — powiedział pan Loman.

Zewsząd biegli ku nim po trawnikach ludzie. W większości byli to mężczyźni, ubrani w identyczne ciemnoczerwone jednoczęściowe kombinezony i berety tego samego koloru.

A więc na Palassan mają również policję, pomyślał Fritz.

— Kłopot polega na tym — oświadczył pan Loman — że zmieniła już na pewno swój wygląd. Musiała tylko zdjąć tę jasną perukę i porzucić gdzieś kwiaty. Teraz nie różni się od tysięcy innych młodych dziewcząt, które przebywają w tym rejonie.

— Chodźmy — powiedział wujek Grigorian. — Zostawmy tę sprawę Czerwonym Beretom. I tak nic na to nie poradzimy.

Po chwili dotarli do domu, w którym mieściły się ich kwatery. Trzy sypialnie i salonik umeblowane były w tym samym prostym, wygodnym stylu co statek kosmiczny wujka Grigoriana.

Pan Loman pokazał im wbudowany obok drzwi mikrofon.

— Naciskając ten guzik, możecie zawsze skomunikować się ze mną albo z Grigorianem — powiedział. — Teraz zostawiamy was, żebyście mogli się rozpakować.

— No, no — powiedziała po ich wyjściu Helen. — Zupełnie jak w eleganckim hotelu.

Fritz wskazał jej ręką okno. Na zewnątrz stali dwaj policjanci w czerwonych beretach. Kiedy otworzył drzwi, jeden z nich natychmiast podszedł do niego.

— Czy mogę w czymś pomóc? — zapytał.

— Nie, dziękuję — odparł Fritz. Zatrzasnął drzwi i odwrócił się do Helen.

— No i co ci to teraz przypomina?

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Mnie to przypomina więzienie — odparł Fritz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wojna na Planecie Robaków

Nazajutrz udali się hipertransem na inną część planety. Nie potrafili określić, jaką przebyli odległość, ale słońce znajdowało się tutaj z grubsza w tym samym miejscu, a więc nie oddalili się zbytnio od stolicy. Wujek Grigorian, który nadal dotrzymywał im towarzystwa, powiedział, że dziewczyny nie udało się odszukać. Czerwone Berety znalazły jednak wciśnięty w kątek bukiet kwiatów, blond perukę i zieloną kurtkę.

Kiedy oczekiwali zezwolenia na lądowanie z Ośrodka Kontroli Hipertransu, obejrzeni samych siebie w telewizji.

Trzy pochodzące z krańców galaktyki prymitywne istoty z Sektora Desycznego przybyły wczoraj na Palassan, aby wziąć udział w ostatniej próbie zakończenia wojny na Planecie Robaków. Obie strony w ramach trójstronnego porozumienia z rządem galaktycznym zgodziły się z góry przyjąć werdykt obcych arbitrów. Wkrótce rozpoczną się przesłuchania. Prowadzić je będzie negocjator rządowy, Swen Harliss, który odpowiada za tę unikalną próbę zawarcia międzyplanetarnej ugody.

Dzisiejsze doniesienia wskazują, że ekspedycja Vardic może napotkać...

Wuj Grigorian wyłączył odbiornik.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział.

Wyszedszy z hipertransu, znaleźli się w przestronnej, wysłanej dywanami sali, której ściany zdobiły obrazy. Na niewielkim podium w głębi stały trzy krzesła i okrągły stolik. Przy nim czekał na nich niski brodaty mężczyzna w białych szatach.

— To jest Swen Harliss — powiedział wujek Grigorian. Fritz zastanawiał się, czy wszyscy tutejsi urzędnicy państwowi uważają brody za coś w rodzaju symbolu sprawowanej władzy.

Na sali znajdowali się jeszcze dwaj mężczyźni.

— Pan Jaik i pan Karin reprezentują strony konfliktu — powiedział Harliss.

Dwaj mężczyźni skinęli grzecznie głowami.

— Mam zamiar przeprowadzić negocjacje w następujący sposób — oznajmił Harliss. — Najpierw wezwę biegłych ekspertów, którzy przedstawią wam podłoże • konfliktu. Następnie nasi dwaj reprezentanci zabiorą głos w imieniu swoich mocodawców. Zajmijcie teraz miejsca na podium.

Bliźniaki i Baryła czuli się raczej głupio, wchodząc na podwyższenie i siadając za niskim stolikiem. Sala była zdecydowanie zbyt duża dla siedmiu czy ośmiu osób.

— Przesłuchania będą nagrywane na taśmie wideo, abyście mogli sprawdzić później każde słowo — powiedział Harliss. — Nawiasem mówiąc, pewnie chcecie, aby Grigorian pozostał z nami. Po prostu, żebyście nie byli sami wśród obcych.

— Tak, prosimy — powiedziała Helen.

Wujek Grigorian siadł na krześle obok podium, a Harliss

w towarzystwie pana Jaika i pan Karina na dole, naprzeciwko dzieci. Pozostało jedno puste krzesło na boku nie opodal miejsca, gdzie siedział Harliss.

— Nie chcę zawracać wam głowy nazwiskami — oświadczył Harliss. — Pierwszy biegły jest astronomem.

Mężczyzna, którego wezwano jako pierwszego, był niski nawet jak na standardy Palassan. Siwowłosa, ale gładko ogolony, miał na sobie jednoczęściowy, podobny do dresu kombinezon, który najwyraźniej stanowił zwykły strój większości tutejszych mieszkańców. Sprawiał wrażenie podenerwowanego.

Zajął wolne krzesło i zaczął mówić.

Przed czterema laty zespół astronomów z Planety Uniwersyteckiej badał ruchy gwiazd w Sektorze Genicznym, na samym skraju galaktyki. Sprawdzano nowo wynalezione instrumenty wyznaczające pozycje planet. Obserwacje pewnego wycinka kosmosu zawierały wyraźny błąd: rzeczywiste orbity wszystkich obiegających odległą gwiazdę planet znacznie różniły się od tego, co przewidywano.

Sprawdzono jeszcze raz dane i odkryto drobne odchylenia również w innych systemach planetarnych tego sektora. Zespół doszedł do wniosku, że wywołuje je jakaś nie odkryta do tej pory ciemna gwiazda lub też wchodzące w skład tych systemów nieznanne planety.

Astronomowie wprowadzili dane do komputera i polecili mu wyznaczyć pozycję gwiazdy — dużego ciała niebieskiego, które jest przyczyną tych odchyień, bo ściąga planety z kursu, oddziałując na nie siłą swojej grawitacji.

Wynik podany przez komputer był dziwaczny: według

niego olbrzymia gwiazda miała się znajdować w miejscu, o którym wszyscy wiedzieli, że stanowi Próżnię Absolutną.

Jeden z naukowców zadał komputerowi kolejne pytanie: jeśli odchylenia powoduje nie gwiazda, lecz planeta, gdzie powinna znajdować się jej orbita?

Odpowiedź okazała się równie niepoważna. Planeta, oznajmił komputer, będzie dryfować w przestrzeni, nie wchodząc w skład żadnego z systemów.

Naukowiec sprawdził dla świętego spokoju podaną przez komputer pozycję.

Planeta tam była.

Odkrycie to wywołało niemałe zamieszanie wśród astronomów. Po raz pierwszy ktoś odkrył wędrowną planetę. Naukowcy zdawali sobie wprawdzie sprawę, że coś takiego jest teoretycznie możliwe, ale nic nie wskazywało, że może istnieć w rzeczywistości.

Pełne wyniki badań i dokładne obliczenia zamieszczono w artykule pod tytułem „Pewne anomalie w Sektorze Genicznym”, opublikowanym w kwartalniku Akademii Nauk Kosmicznych.

Kiedy astronom umilkł, Harliss zapytał, czy są jakieś pytania. Wszystko jest absolutnie jasne, zapewnił go Fritz. Astronom wyszedł.

— Następny świadek jest kimś, kogo nazywamy kosmokrażcą — oznajmił Harliss. — Ludzie jego pokroju przemierzają nie zbadane jeszcze rejony przestrzeni, częściowo z żądzy przygód, częściowo dla zysku. Tysiące kosmokrażców podróżuje po galaktyce w swoich pobijanych hipertransach, łudząc się, że zarobią krocie, gdy uda im się odkryć meteoryt z litego złota albo coś

w tym rodzaju. W rzeczywistości ledwo wiążą koniec z końcem, handlując drobnicą, a czasami przemycają różne towary. Traktujemy ich, generalnie rzecz biorąc, jako plagę. Czasami jednak, jak zobaczycie, mogą się na coś przydać.

Kosmokrążca, który wszedł na salę, stanowił dokładną odwrotność astronoma. Ubrany w luźną koszulę bez kołnierzyka i workowate, spięte paskiem spodnie, poruszał się dość niezgrabnie, jakby trudno mu było przyzwyczać się do grawitacji. Jego mina świadczyła o tym, że niechętnie opowiada swoją historię audytorium składającemu się z kilku dzieciaków i rządowych urzędników.

— Robiłem właśnie krótki skok z Gevy na Torkę — oznajmił kosmokrążca — z ładunkiem molekularnych tranzystorów. Na Gevie produkują ich biliony, ale Torka jest technologicznie zacofana i Torkasi płacą za nie fortunę. Tak czy owak, przemieszczałem się jak zwykle na wycucie. Tak daleko nie ma ustalonych z góry tras z bezpiecznymi punktami lądowania... trzeba po prostu zafiksować z grubsza koordynaty i modlić się, żeby nic się nie napatoczyło przy lądowaniu. Dlatego właśnie zawód kosmokrążcy jest taki niebezpieczny.

Oczywiście mógłbym skorzystać z oficjalnego szlaku i lądować z zamkniętymi oczyma. Ale to zajmuje więcej czasu i więcej kosztuje. A poza tym musiałbym wtedy sprzedawać po niższej cenie na Torce i diabli by wzięli mój cały zysk. Na tym właśnie polega nasza robota. Każda planeta ma ustalony szlak na Palassan, przez

stolicę możesz się dostać, dokąd tylko chcesz. Ale jeśli skaczesz na wycieczkę, zarobisz trochę forsy i wykiwasz konkurentów.

Tak czy owak, w drodze na Torkę złapałem teletransmisję na hiperczęstotliwości. Gadali o jakiejś zabłąkanej planecie, o której nikt nie słyszał, gdzieś na peryferiach Sektora Genicznego. Zajrzałem do atlasu gwiazdowego i zorientowałem się, że jestem jedynym facetem w całej galaktyce, który znajduje się akurat w jej pobliżu.

Pomyślałem sobie, co tam. Kilka skoków zajmie mi najwyżej dzień albo dwa. A potem znalazłem się od razu na orbicie wokół planety. Nie powiem, trochę mnie to wystraszyło. Kosmos! Gdybym wycelował trochę dalej, wylądowałbym w samym środku skały i byłoby po mnie... Koniec z kosmokrążeniem.

Ponieważ jednak planeta miała atmosferę i znajdowała się bardzo daleko od jakiegokolwiek gwiazdy, byłem tak samo mądry jak przedtem. Na dole. widać było tylko błękitną mgiełkę. Opuściłem się więc powoli na powierzchnię.

Wystartowałem z powrotem cholernie szybko, tyle mogę wam powiedzieć. Te robale połknęłyby mnie na jeden raz razem z moim statkiem. Na szczęście udało mi się je zobaczyć: pod chmurami znajdowało się jakieś źródło światła i na dole było jasno jak w dzień. Spojrzałem tylko na hordy robali... jeden z nich zasuwał prosto na mnie, zostawiając za sobą strużkę tego świństwa... i już mnie nie było.

Szczerze mówiąc, powinienem lecieć prosto na Torkę. Nie zarobiłem na tej Planecie Robaków złamanego

grosza, jeśli nie liczyć paru guldenów, które dostałem od ludzi z telewizji za relację z pierwszej ręki. Żadnej nagrody od rządu galaktycznego za to, że ich ostrzegłem. Co jeszcze chcielibyście wiedzieć?

Kosmokrążca najwyraźniej nie miał już nic do powiedzenia i Harliss odprawił go z wyraźną ulgą.

Trzecim świadkiem był kapitan Floty Kosmicznej. Opalony na brąz i gładko ogolony, ubrany był podobnie jak Czerwone Berety, tyle tylko że jego kombinezon był jasnoniebieski, z wyszytą na piersi białą gwiazdą. Kapitan dowodził rządową ekspedycją na Planetę Robaków.

— Korpus ekspedycyjny wyruszył w stronę wyznaczonej planety, wykonując rozkaz Imperium numer G65a/339, paragraf...

— Dobrze, dobrze, kapitanie, nie ma potrzeby wnikać w to tak dokładnie — przerwał mu Harliss. — To nie jest normalne przesłuchanie, rozumie pan. Niech pan po prostu opowie, co pan widział.

— Tak jest. Flota weszła na orbitę wokółplanetarną, aby dokonać wstępnych obserwacji. Okazało się, że mamy do czynienia z ciałem niebieskim typu Q o niezwykle wielkiej masie. W atmosferze planety odkryto niewielkie ilości obłoków, uderzał jednak brak dużych zbiorników wodnych. Nie stwierdzono żadnych oznak obdarzonego inteligencją życia.

Podczas schodzenia w dół okazało się, że obłoki są w istocie formacjami typu roślinnego, które emitują świa-

tło. Na wysokości zero zaobserwowano przypominające olbrzymie gąsienice istoty, które stały się powszechnie znane jako, hmm, Robaki.

Istoty owe mają mniej więcej cztery metry średnicy i dziesięć albo więcej metrów długości. Poruszając się wydzielają nitkę podobnej do jedwabiu substancji. W toku dalszych badań wyszły na jaw dwa istotne fakty. Po pierwsze, Robaki snują swoją nić w oparciu o pewien podziemny wzór geologiczny. Po drugie, sama substancja jest w istocie złożoną masą plastyczną, produkowaną pod nazwą unilon na kilku planetach Systemu Centralnego.

Robaki okazały się zupełnie nieagresywne i ich ujęcie nie przedstawiało żadnych trudności. Poddano sekcji kilka egzemplarzy różnych rozmiarów. Mózgi wszystkich były niewielkie i składały się głównie z rdzenia kręgowego.

Robakom za pożywienie służy niezbyt rozwinięta flora. Odkryto, że niektóre jej gatunki reagują na bodźce świetlne i cieplne. Prowadzenie dokładniejszych badań wykraczało poza zakres zadań korpusu ekspedycyjnego.

Kapitan skłonił się sztywno i wyszedł.

— Na tym kończymy wstępne przesłuchania — stwierdził Harliss. — Czy wszystko jest jasne?

— Chyba tak — odpowiedział, pochylając się do przodu, Fritz. — Planeta Robaków jest zabłąkanym ciałem niebieskim, które nie kręci się koło żadnego własnego słońca. Zamieszkują ją Robaki, które odżywiają się roślinami i wydzielają unilon. Nadal nie wiemy, o co ten cały hałas.

— Zaraz się dowiecie — powiedział Harliss. — Po proszę teraz o głos pana Jaika.

Pan Jaik miał pociągłą twarz i długi nos. Na jego zielonej kurtce wyszyty był znaczek z literami LOŻ.

— Jestem prezesem Ligi Obrony Życia — powiedział wstając. — Liga ma miliony sympatyków w całej galaktyce. Mówiąc w skrócie, staramy się chronić wszystkie formy życia zwierzęcego we wszechświecie. Podczas prześluchania wstępnego nie padło tutaj ani jedno słowo o tym, co wydarzyło się na Planecie Robaków, kiedy Flota Kosmiczna powróciła ze swoim raportem.

Rzecz w tym, że substancja, którą wydzielają Robaki — unilon — jest niezwykle cenna. Produkuje się ją po olbrzymich kosztach własnych w wielkich fabrykach, które zbudowano na kilku planetach naszego układu. Kiedy tylko ludzie się dowiedzieli, że istnieje całe ciało niebieskie, gdzie brodzi się w unilonie po kolana, na Planetę Robaków ruszyły hordy żądnych zysku kolonizatorów.

Pierwsi przybysze zgarniali po prostu unilon wielkimi mechanicznymi koparkami i wysyłali w bardziej cywilizowane rejony galaktyki. Potem opracowano specjalne metody. Żeby ułatwić zbiory, zmuszono Robaki do snucia przędzy w liniach prostych. W tym celu dokonuje się pewnej operacji na ich mózgach.

Wielkie obszary planety zajmują teraz po prostu plan-tacje unilonu, w których zmuszane do niewolniczej pracy Robaki tkają przędę tak długo, aż padną nieżywe. Liga Obrony Życia przejęła większość obszaru planety, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się tych potwornych praktyk.

— Obawiam się, że muszę panu przerwać, panie Jaik — powiedział Harliss. — Powinienem w tym miejscu dodać, że wzdłuż granic obszaru zajętego przez ligę wybuchły ostatnio w kilku miejscach zbrojne starcia. Plan tatorzy i funkcjonariusze ligi walczyli początkowo przy użyciu broni palnej, a potem pocisków sterowanych. Każda strona okarża przeciwnika o sprowokowanie starć. Rząd powstrzymał walki i stara się obecnie do prowadzić do trwałego zawieszenia broni. A teraz proszę pana Karina, żeby przedstawił swoją wersję wydarzeń.

Pan Karin miał prostą, ogorzałą twarz, która przypominała trochę oblicze kosmokrączy. Pod pachą trzymał plik papierów i Helen się obawiała, żeby jego mowa nie trwała zbyt długo.

— Reprezentuję Związek Producentów Unilónu, którzy utworzyli plantatorzy z Planety Robaków, aby bronić swoich słusznych praw — powiedział. — Planeta zapewnia obecnie środki do życia ponad dwustu pięćdziesięciu tysiącom robotników oraz ich rodzinom. Zapominają o tym działacze Ligi Obrony Życia, ubolewając nad losem biednych gąsienic.

To nieprawda, że Robaki cierpią na naszych farmach. Dostarczamy im dostateczną ilość karmy, chronimy także przed chorobami i drapieżnikami. Jeżeli tak cierpią, dlaczego nie starają się uciec? Po prostu dlatego, że są na swój skromny sposób szczęśliwe. Działacze ligi wtykają nos w nie swoje sprawy i intrygują, bo nie mają nic lepszego do roboty.

— Nie życzę sobie, żeby się tutaj wzajemnie obrzuca no obelgami — przerwał mu Harliss. — Czy macie jakieś pytania? — zapytał, spoglądając w stronę podium.

— Chwileczkę — odparł Fritz. — Mam zamiar zadać każdemu z tych ludzi jedno pytanie. Obserwuj ich uważnie — polecił szeptem Helen, a głośno powiedział: — Panie Jaik, proszę powiedzieć mi w jednym zdaniu, dlaczego chce pan chronić Robaki.

— Aby zapobiec okrucieństwu i zachować różnorodność gatunkową w całej galaktyce.

— Panie Karin, dlaczego występuje pan przeciwko Lidze Obrony Życia?

— Moim zadaniem jest ochrona dwustu pięćdziesięciu tysięcy miejsc pracy — brzmiała odpowiedź.

— Teraz sprawa powinna być bardzo prosta — szepnął Fritz, zwracając się znowu do Helen. — Użyj swojej Mocy. Który z nich kłamie?

— To całkiem łatwe — odparła. — Kłamią obaj.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nocny lot

Helen obudziło szarpnięcie za ramię. Otworzyła oczy i zobaczyła Fritza.

— Wstawaj — powiedział.

Dziewczynka spojrzała na zegarek.

— Jest środek nocy! — zaprotestowała.

— Nie szkodzi. Ubieraj się. Idę obudzić Baryłę.

Helen włożyła na siebie ubranie. Widziała, że Fritz nie żartuje. Kiedy weszła do salonu ich małego domku, rozmawiał właśnie przez interkom.

— Która jest teraz godzina w Anglii? — zapytał.

— Zbliża się południe — odezwał się głos wuja Grigoriana.

— Uważam, że powinniśmy porozmawiać z mamą.

— Teraz?

— Dlaczego nie? Jesteśmy wszyscy na nogach.

— W porządku. Przygotuję tylko stację transmisyjną. To może potrwać parę minut.

Helen rozejrzała się po pokoju. Na stole piętrzyły się sterty książek i kaset wideo.

— W ogóle nie spałeś? — zapytała Fritza.

— Przewertowałem trochę materiałów i odkryłem kilka ważnych rzeczy.

— Dlaczego chcesz rozmawiać z mamą?

— Bo przez jakiś czas możemy nie mieć okazji po temu.

Do pokoju wszedł Baryła z Globem na ramieniu. Ostatnio w ogóle nie rozstawał się ze zwierzkulką.

— Co się dzieje? — mruknął zaspanym głosem.

W interkomie zabrzmiał znajomy dzwonek telefonu.

— Macie połączenie z Ziemią — odezwał się głos wujka Grigoriana.

— Halo? — usłyszeli głos pani Price.

— Cześć, mamó — powiedział Fritz.

— Co za miła niespodzianka! Dobrze się bawicie? Jesteście wszyscy zdrowi?

— Jest bardzo fajnie — odparł Fritz. — Helen obejrzała owce, a Baryła i ja jeździliśmy traktorem. Wujek Grigorian kazał nam zadzwonić i przekazać, że wszystko w porządku.

— To bardzo miło z jego strony. Nie możemy rozmawiać za długo, bo to kosztuje. Poza tym muszę się zająć lunchem dla gości. Dziękuję za telefon.

— Do widzenia, mamó — powiedział Fritz. — A teraz — zwrócił się do Helen i Baryły — pozwólcie, że tylko ja będę trzymał gadkę.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Natychmiast zbliżył się do niego pełniący straż funkcjonariusz Czerwonych Beretów.

— Zostawiłem swoje gry w hipertransie wujka Grigorian — powiedział Fritz. — Chciałbym tam pójść i je zabrać.

Strażnik zmarszczył czoło.

— Czy to nie może zaczekać do rana? — zapytał. — Na nocnej zmianie jestem tu tylko ja, a moim obowiązkiem jest opiekować się wami wszystkimi. Jeśli tu zostanę, możesz się zgubić, a jeśli pójde z tobą, będę musiał zostawić pozostałą dwójkę.

— To żaden problem — oświadczył pogodnie Fritz. — Oni mogą pójść ze mną. I tak będą potrzebni, żeby nieść rzeczy.

— W porządku — zgodził się strażnik. — Chodźmy.

Trawnik oświetlały dwa księżycy, jeden duży i srebrzysty, drugi mały i żółty. Bliźniaki, Baryła i strażnik ruszyli szybkim krokiem po zwirowanej ścieżce i po paru chwilach znaleźli się w miejscu, gdzie wylądował ich pojazd.

Budynek był otwarty i bez trudu znaleźli drogę do „gabinetu” wujka Grigoriana. Kiedy weszli do środka, Fritz wskazał szafkę z przyrządami.

— Gry są tutaj — powiedział.

— No, nie wiem. — Strażnik się uśmiechnął. — Wy, Ziemianie, widać lubicie zajmować się gramy o dziwnych porach.

Fritz otworzył drzwi szafki i przekręcił dwa przełączniki.

— Hej! — zawołał strażnik.

Ściany budynku rozmazały się i zniknęły.

— Coś ty narobił? — w głosie strażnika zabrzmiał gniew.

— Wygląda na to, że nie znasz się na obsłudze hipertransu — powiedział Fritz.

— Nie. Ale sprowadź nas lepiej szybko na Palassan,

bo przestrzele ci nogę. — Strażnik wyjął z kieszeni uniformu mały pistolet.

— Nie przejmuj się, Fritz — wtrąciła Helen. — On blefuje.

Ich opiekun wydawał się teraz autentycznie przestraszony.

— Niech was diabli! — zaklął.

— Spokojnie, spokojnie. Skoro nie możesz nas zmusić do powrotu na Palassan, radzę pogodzić się z perspektywą wspólnej wycieczki — powiedział Fritz. — W ten sposób będziesz mógł nas przynajmniej dalej ochraniać. Jak się nazywasz?

— Arman.

— Czy powiesz nam wreszcie, Fritz, co takiego wymyśliłeś? — zapytała błagalnym tonem Helen.

— Tak. — Bliźniak przez chwilę manipulował pokrętłami. — Te rzeczy bardzo łatwo obsługiwać, kiedy przestudiowało się gwiazdne mapy — powiedział. — Ale do rzeczy. Podczas gdy wy oboje słodko pochrapywaliście, udało mi się odkryć kilka spraw.

Po pierwsze, przeczytałem sobie to i owo na temat Ligi Obrony Życia. Na początku byli po prostu bandą nieszkodliwych maniaków. Ale trzy lata temu zupełnie niespodziewanie stali się bogatą i wpływową instytucją. Wydarzyło się to zaraz po odkryciu Planety Robaków.

Obowiązuje tutaj prawo, na mocy którego wszystkie organizacje społeczne muszą deklarować, skąd pochodzą ich pieniądze. W ciągu ostatnich trzech lat Liga Obrony Życia otrzymała duże darowizny od instytucji o nazwie Trust Gulbena. Zebrałem więc informacje na jego temat. Trust przekazuje pieniądze na różnego rodzaju rzeczy:

szkoły, projekty badawcze, a także na pomoc ofiarom głodu i inne cele charytatywne.

— Co to ma wspólnego z Planetą Robaków? — zapytał Baryła.

— Poczekaj chwilę, zaraz dojdę do sedna. Trust prowadzi przedsiębiorca o nazwisku Jo Lee Olsom.

— Co to za facet?

— Nie przerywaj, właśnie mam zamiar ci to powiedzieć. Jest teraz na emeryturze, ale był kiedyś szefem wielkiej fabryki unilonu. Dzisiaj interes prowadzi jego syn. I odkąd z Planety Robaków zaczęto dostarczać tani unilon, obaj stracili mnóstwo forsy.

— Rozumiem! — zawołała Helen. — Fabryka unilonu pfaci po prostu Lidze Obrony Życia, żeby siała zamęt na Planecie Robaków.

— Właśnie — przytaknął Fritz. — Zebrałem również dane na temat Związku Plantatorów Unilonu. Są równie niepokojące. Związek nie reprezentuje wcale zatrudnionych na plantacjach robotników. To nie jest związek zawodowy z wybieralnymi władzami i tak dalej, lecz prywatna organizacja, założona przez trzy osoby, do których należą wszystkie plantacje.

— Z tego wynika, że nikt nie był z nami szczerzy — westchnął Baryła.

— Tak to można określić — zgodził się Fritz. — Musimy zacząć wszystko od początku.

— Więc dokąd lecimy? — zapytała Helen.

— Na Planetę Robaków — odparł Fritz, pochylając się z powrotem nad konsolą.

Wylądowali w rezerwacie, w części planety przejętej przez Ligę Obrony Życia po to, by zapobiec rozwojowi plantacji. Prawie do samego końca Fritz podróżował wyznaczoną oficjalnie trasą, dopiero ostatni skok wykonał „na wyczucie”, podobnie jak kosmokrączy.

Hipertrans stanął w samym środku stada Robaków.

Były ogromne, o wiele większe od wielorybów, w gruncie rzeczy jednak bardziej przypominały gąsienice niż robaki. Miały czarne mozaikowe oczy i malutkie nóżki u podstawy każdego segmentu. Kiedy pełżyły do przodu, wysuwała się spod nich gruba nić unilonu.

Czterej pasażerowie hipertransu przyglądali się im z fascynacją i lękiem przez przezroczyste ściany.

— Co jakiś czas zmieniają nagle kierunek — powiedziała Helen. — Tak jakby podążały jakimś szlakiem.

— Może szukają pożywienia — odezwał się Arman. Przez większą część podróży milczał, siedząc w kącie z ponurym wyrazem twarzy, ale teraz, gdy wylądowali na Planecie Robaków, zapomniał widać, iż ma być w złym humorze.

— To nie są tego rodzaju ruchy — stwierdziła Helen.

— Kapitan powiedział, że to ma coś wspólnego ze skałami i tym, co się kryje pod ziemią — przypomniał im Baryła.

Fritz spojrzął w dół.

— Cała powierzchnia pokryta jest czymś w rodzaju siatki z unilonu — powiedział. — Ta siatka jest tak skomplikowana, że musi czemuś służyć... musi mieć jakiś sens...

— Wychodzę na zewnątrz — powiedział Baryła.

— O nie, nie wolno ci! — przypomniał sobie nagle o swoich obowiązkach Arman.

— Nie zabraniaj mu — powiedział Fritz. — Wiemy przecież, że Robaki nie są groźne.

Baryła otworzył segment ściany, który służył jako drzwi. Poblądł nieco, ale minę miał buńczuczną.

— Idę! — zawołał i zrobił krok na zewnątrz. Wciągnął w nozdrza powietrze, po czym obrócił się i wzruszył lekceważąco ramionami. Przeszedł kilka kroków, a potem pochylił się i dotknął nici unilonu.

— Och! — zawołał, cofając szybko rękę.

— Co się stało? — zawołała z niepokojem Helen.

— To szczypie — odparł Baryła.

Fritz był bardzo zaciekawiony.

— Tak jak przy szoku elektrycznym?

— Tak. Co to znaczy twoim zdaniem? — zapytał Baryła, wchodząc z powrotem do hipertransu.

— Nie wiem. Ale na pewno coś znaczy — odparł Fritz i otworzył szafkę.

— Czy możemy ruszyć dalej? — zapytała Helen. — Chciałabym rzucić okiem na te rośliny, którymi się odżywiają.

— Wielkie umysły rozumują w podobny sposób — powiedział Fritz. — Ruszajmy.

Krótkimi skokami po powierzchni planety dotarli w pobliże rozległej prerii porośniętej ciemnozielonymi roślinami. Wszystkie miały liście przypominające spodki i skierowane niczym anteny radarów prosto w niebo.

— Kapitan mówił, że niektóre okazy flory reagują na światło i ciepło — przypomniał im Fritz. — Ciekawe, co to może znaczyć.

— Przypuszczam, że po prostu kiedy je oświetlisz

latarką, odwracają się w kierunku źródła światła — powiedziała Helen. — Sprawdźmy, czy tak jest rzeczywiście.

— Kto ma latarkę? — zapytał Fritz. — Arman?

— Mam. — Arman najwyraźniej zainteresował się planetą. Z kieszeni zamykanej na zamek błyskawiczny wyjął minilatkę.

Fritz otworzył drzwi i skierował promień latarki na jeden ze spodkowatych liści. Potem stopniowo przesunął światło na bok. Liść wcale się nie poruszył.

— No i po całej teorii.

— Niekoniecznie, Helen. Daj mi jeszcze spróbować.

Wyjął scyzoryk i przeciął wzdłuż łodygę rośliny, a potem przyjrzał się uważnie jej rdzeniowi i postukał w niego palcem.

— Jak na razie nieźle — stwierdził. — Widzicie? — Pokazał obnażoną łodygę pozostałej trójce. — Środek biegnie jakiś twardy rdzeń. Teraz sprawdzimy coś jeszcze.

Odkręcił górną część latarki i wyjął z niej żarówkę.

— Masz może zapalniczkę, Arman?

Arman otworzył kolejną kieszonkę i wyjął z niej zapalniczkę.

— Dobra — powiedział Fritz. — Zapalniczka da i światło, i ciepło. — Zapalił zapalniczkę i przysunął ją tuż do powierzchni liścia, a potem dotknął podstawą żarówki twardego rdzenia łodygi.

Żarówka zamigotała.

— Oto cała zagadka! — zawołał Fritz. — Światło i ciepło na powierzchni liścia generują elektryczność w środku rośliny.

— Dobrze — powiedział Arman. — Czy mogę dostać z powrotem moją latarkę i zapalniczkę?

Fritz mu je oddał.

— To jest cały system, nie widzicie tego? — zapytał. — Rośliny generują elektryczność... Unilon jest pod napięciem. Robaki odżywiają się roślinami i wytwarzają unilon. Wszystko pasuje... ale jaki jest sens tego wszystkiego?

— Jestem głodny — stwierdził Baryła.

— Ja też — dodała Helen. — A biedny Arman wygląda na podenerwowanego. Może przenieśliśmy się na teren, który opanowali plantatorzy?

— Doskonale — odparł Fritz. — Może tam dowiemy się czegoś więcej.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Skąd się biorą trzęsienia ziemi?

Wylądowali na skraju małego miasteczka. Wisząca nad nim chmura była niewielka i dawała bardzo mało światła. Było zimno.

Cała okolica przypominała Baryle film o kopalniach złota na Alasce. Ulice nie miały twardej nawierzchni, sklepy były obskurne, a domy z prefabrykatów wyglądały, jakby miały się zaraz rozpaść.

Szybkim krokiem, żeby nie zmarznąć, ruszyli w stronę centrum, wypatrując jakiegoś baru.

Najwyraźniej nie było tutaj ani hipertransu, ani kolei podziemnej. Ulicami przemykały podobne do szybkich wózków golfowych elektryczne samochody. Wielu ludzi miało na głowach futrzane czapki.

— Masz jakieś pieniądze? — zapytał tknięty nagłą myślą Fritz, zwracając się do Armana.

— Tak. Niewiele, ale starczy, żeby kupić coś do jedzenia.

— Nie mają tutaj własnej waluty?

— Nie. To całkiem młoda planeta. Nie mieli czasu, żeby stworzyć własne pieniądze. I używają tutaj, tak jak i my, języka galingua.

Kilka osób zaczęło spoglądać nieprzyjaźnie na Armana.

— Nie wydaje mi się, żeby lubili tutaj Czerwone Berety — mruknął w końcu strażnik.

— Lepiej się jakoś przebierz — podpowiedziała Helen.
— Fritz, pożycz mi swoją kurtkę.

— Zamarznię na śmierć!

— To tylko chwila. No. Zdejm jeszcze czapkę, Arman.

Przyglądała mu się przez chwilę.

— Teraz wyglądasz po prostu jak facet w czerwonych spodniach — stwierdziła.

Wkrótce zobaczyli oświetloną jasno witrynę. Wewnątrz widać było stoły, krzesła i kilka pożywiających się osób. Weszli do środka i usiedli.

— Chcecie coś do jedzenia czy tylko kawę? — zawołał facet za kontuarem.

— Coś do jedzenia — odparł w imieniu wszystkich Arman. — Co można tutaj dostać?

— Gulasz, gulasz i jeszcze raz gulasz — poinformował go barman.

— W takim razie weźmiemy chyba gulasz. Cztery razy.

Barman przyniósł im cztery duże miski i cztery łyżki.

— Dziesięć guldenów — oznajmił, stawiając jedzenie na stole.

— Co takiego? — oburzył się Arman. — Z takie pieniądze powinienem dostać cztery potężne steki.

— To jest Planeta Robaków, bracie. Dziesięć guldenów.

Arman niechętnie zapłacił i zaczęli jeść.

— Zastanawiam się, z czego jest ten gulasz — powiedział Baryła.

— Cóż, te zielone kawałki to prawdopodobnie jakieś warzywa — domyślił się Fritz.

— W takim razie co to za mięso? Smakuje całkiem nieźle.

— Możesz zgadywać trzy razy — powiedział Fritz. — Pomyśl chwilę: co jeszcze jest na tej planecie oprócz roślin?

— Robaki — odparł Baryła.

— Trafieś za pierwszym razem.

— Faj — mruknęła Helen i odsunęła miskę.

— Jesteście tutaj nowi — powiedział klient przy sąsiednim stoliku, nachylając się ku nim.

Helen zmierzyła go wzrokiem. Nie mogła się zorientować, czy ich sąsiad zapuszcza brodę, czy też zapominał po prostu od kilku dni się ogolić. Miał na głowie podartą czapkę i brakowało mu z przodu jednego zęba.

— Tak, jesteśmy nowi — odparła.

— Nie powiedzieli wam nic o jedzeniu, tak? — roześmiał się kpiąco mężczyzna. — Nigdy tego nie robią.

— Pan jest tutaj prawdziwym weteranem, prawda?

— Jasne. Siedzę tu od trzech lat. Przybyłem wraz z pierwszym transportem frajerów.

— O czym jeszcze zapomnieli wam powiedzieć, weteranie? — zapytał Fritz.

Mężczyzna znowu zarechotał.

— Właściwie o wszystkim. Na początek o trzęsieniach ziemi. A także ile tu wszystko kosztuje, zwłaszcza bilet powrotny do domu. Nie kłamią, jak obiecują ci wysokie zarobki. Sto guldenów tygodniowo plus premia. Ale

potem okazuje się, że miska gulaszu z Robaków kosztuje dwa pięćdziesiąt i...

— Co to za historia z trzęsieniami? — przerwał mu Fritz. Przestał jeść i wpatrywał się z uwagą w mężczyznę.

— Zdarzają się co parę tygodni. Niszczą domy i zabijają za każdym razem parę osób. Czasami są silniejsze, czasami słabsze. Jedyny sposób, żeby się przed nimi ustrzec, to mieszkanie w hipertransie: ich nic nie rusza. Tam właśnie mieszkają wszyscy nadzorcy. Tak, mój panie.

— Czy wiadomo, co powoduje te trzęsienia?

— Ludzie mówią, że elektryczność, ale nikt nie wie nic na pewno. Wszystko wali się w gruzy i musimy budować domy od nowa.

Fritz już go nie słyszał.

— To jest to! To jest to! — powtarzał szeptem, klepiąc się z satysfakcją w kolano. Arman nie spuszczał z niego oczu.

— Wyrzuc to z siebie — poprosiła Helen.

— Temu właśnie służy elektryczność. Czy to nie oczywiste? Prąd wytwarzany przez rośliny biegnie przewodami unilonu do jądra planety. Elektryczność przesuwa skały i powoduje trzęsienia ziemi. W ten właśnie sposób porusza się cała planeta.

— Nie rozumiem tego — powiedziała Helen.

— Ja też — dodał Baryła.

Fritz przez chwilę się zastanawiał.

— Nie widzieliście nigdy starszych panów grających w kręgle na trawie? Ich kule są nierówno obciążone: z jednej strony mają większy ciężar niż z drugiej. Dlatego

zataczają krąg, zamiast posuwać się po linii prostej. Jeśli więc ciężka masa znajdująca się w środku ciała niebieskiego poruszy się, planeta zmienia swój tor. Trzęsienia ziemi nadają jej pożądaną kierunek.

— Rozumiem to wszystko, ale nie pojmuję, dlaczego to takie wielkie odkrycie — powiedziała Helen.

— Niestety ja rozumiem to aż za dobrze — odezwał się Arman. Jego głos się zmienił i Helen spojrzała na niego zdumiona. W ręku strażnika ponownie błysnął mały pistolet.

— Wstańcie i grzecznie opuśćcie to miejsce — powiedział. — Tym razem mówię serio.

Fritz spojrzał na Helen.

— Teraz nie blefuję — przyznała.

Zmieszane dzieci wstały i poganiane przez Armana wyszły z baru. Weteran odprowadzał ich przez chwilę zdumionym wzrokiem i wrócił do swego posiłku.

Arman zaprowadził ich do dużego kamiennego budynku. Pokazał siedzącemu za biurkiem urzędnikowi błyszczący kwadrat, który wyglądał na odznakę albo kartę identyfikacyjną.

— Zamknijcie całą trójkę w areszcie — powiedział.

Widok odznaki najwyraźniej wystraszył urzędnika.

— Tak jest — odparł słuźbiście. — Tędy, proszę.

Zostali umieszczeni w małej celi z zakratowanym oknem i judaszem w drzwiach. Arman stanął w progu, wciąż mierząc do nich z pistoletu.

— Naprawdę cię podziwiam — oznajmił swoim no wym, pewnym siebie głosem. — Domyśliłeś się wszystkiego w niewiarygodnie krótkim czasie. Ale nie możemy

przecież pozwolić, żeby dowiedziała się o tym reszta galaktyki?

— Nie możecie — przytaknął posepnie Fritz.

— Domyśliłeś się nawet, że jestem tajnym agentem plantatorów, prawda?

Fritz pokiwał głową.

Helen otworzyła usta ze zdziwienia.

— Dlaczego cię nie podejrzewałam? Moja Moc po winna przecież...

Arman uśmiechnął się.

— Zgadłaś, że czuję się nieswojo, prawda?

— Tak, ale myślałam, że boisz się Planety Robaków... och, jaka byłam głupia! — zawołała, uderzając się dłonią w czoło.

— Zachowujcie się spokojnie i zacznijcie się przyzwyczajać do roli grzecznych więźniów — Arman zamknął drzwi za sobą.

Helen spojrzała na Fritza.

— Co to za rzecz, którą rozumiecie ty i Arman, a my z Baryłą za nic nie możemy pojąć? — zapytała.

— Powtórzę to jeszcze raz — powiedział Fritz. — Ta planeta czerpie swoją energię z gwiazd... albo ze słońca, kiedy znajdzie się w pobliżu jednego z nich... i wszystko to dzieje się za pośrednictwem roślin. Obracają one światło słoneczne w elektryczność. Elektryczność biegnie unilonem do jądra, gdzie powoduje olbrzymie przemieszczenia masy, a te wprawiają planetę w ruch. Podejrzewałem, że siatka unilonu ma jakiś sens. Teraz wiem na pewno. Unilon jest mózgiem. Planeta Robaków jest żywa. Całe ciało niebieskie jest jednym olbrzymim zwierzęciem.

Na twarzy Helen pojawił się błysk zrozumienia.

— Właściwie dlaczego nie? Potrafi myśleć, potrafi się poruszać, żywi się słonecznym światłem, potrafi się leczyć. Podejrzewam, że to właśnie robią Robaki: leczą zniszczone sekcje mózgu.

— Tak, to też pasuje. Gaśienice kontrolowane są poprzez drobne ruchy ziemi tuż pod powierzchnią. Tak.

— Wszystko to jest bardzo mądre — wtrącił się Baryła, gładząc zwierzokulkę, jakby szukał u niej pociechy — ale jaką rolę odegrał tutaj Arman?

— Jestem pewien, że plantatorzy już dawno temu odkryli prawdę. Teraz pomyślcie trochę. Planeta nie otrzymuje dość energii z gwiazd, żeby przesunąć tę olbrzymią masę skał. Potrzebuje pilnie jakiegoś słońca. Prawdopodobnie szuka go właśnie teraz. Przypuszczam, że zadowolony się najbliższym. Jeśli wejdzie do jakiegoś układu słonecznego, wytrąci oczywiście wszystkie inne planety z ich kursu... a jeśli planeta schodzi z orbity, zamiera na niej wszelkie życie. Wicie, topią się góry lodowe, woda zalewa wszystko, palą się zbiory i tak dalej.

Kiedy rząd Imperium Galaktycznego dowie się prawdy o Planecie Robaków, będzie chciał ją zniszczyć. Musi przecież stawiać życie ludzi na pierwszym miejscu. Plantatorzy próbują więc zachować rzecz w tajemnicy. Chcą wywieźć jak najwięcej unilonu, zanim prawda wyjdzie na jaw. Arman był podstawionym przez plantatorów szpiegiem, który miał nas usunąć z drogi, gdybyśmy wszystko odkryli. Zabierając go ze sobą, ułatwiliśmy mu tylko zadanie — dodał gorzko.

— Co możemy teraz zrobić? — zapytał cicho Baryła.

— Przede wszystkim musimy się stąd wydostać.

— A potem?

— Potem musimy porozumieć się z tą planetą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

I wilk syty, i owca cała

W oddali zabrzmiał stłumiony huk, który przypominał odgłos gromu albo jadących autostradą ciężarówek. Fritz podniósł głowę i inni pobiegli za jego spojrzeniem. Wisząca na przewodzie pod sufitem żarówka bujała się na wszystkie strony. Nagle w betonowej ścianie pojawiła się długa szczelina.

— Pod łóżko! — krzyknął Fritz.

Wszyscy troje dali nurka pod żelazne łóżko, które stało pod ścianą celi. Huk zbliżał się.

— To trzęsienie ziemi — jęknął Baryła, nie przestając gładzić zwierzokulki.

Wydawało się, że podłoga unosi się i kołysze. Na łóżko i wokół niego zaczęły spadać kamienie i kawały betonu. Hałas był ogłuszający. Gdzieś w budynku ktoś przeraźliwie krzyczał. Słyszeć było wrzaskliwe komendy. Przeżrana Helen zakryła uszy rękoma i zacisnęła mocno powieki.

Myśleli, że to nigdy się nie skończy. A potem nagle zapadła cisza. Helen otworzyła oczy.

— Nic wam nie jest? — wyszeptała.

— Tak jakby — odparł Baryła.

— Jesteśmy cali i zdrowi — powiedział Fritz. — Popatrz!

Helen pobiegła wzrokiem w ślad za jego palcem — i zobaczyła ulicę. W ścianie celi ziała wielka dziura.

Wypęzli spod łóżka i omijając sterty gruzu na podłodze, wyszli na zewnątrz. Przez chwilę rozglądali się, żeby ustalić, gdzie się znajdują, a potem pobiegli bez słowa ulicą, która wiodła na obrzeża miasteczka.

Trzęsienie, jak się okazało, nie było zbyt silne. Zawaliła się część drewnianych domów, ale budynki z cegły i kamienia ucierpiały tylko trochę. Potłuczone były wszystkie okna, w tym także wielka szyba w barze, gdzie jedli gulasz z Robaków.

W ogólnym zamieszaniu nikt nie zwracał na nich uwagi. Ludzie opatrywali rannych, szacowali straty i przeczesywali ruiny, szukając zasypanych. Trójka uciekinierów zdawała sobie jednak sprawę, że Arman sprawdził już zapewne celę i nie mają czasu do stracenia.

Hipertrans stał w szczerym polu za ostatnim domem miasteczka. Cała trójka wskoczyła do środka, a Fritz ruszył prosto do szafki z przyrządami. Po chwili obraz za ścianami się rozmazał i znaleźli się nad powierzchnią planety.

Lecieli znowu krótkimi skokami.

— Szukam kępy roślin wrażliwych na ciepło — mruknął Fritz.

— Naprawdę chcesz porozumieć się z planetą? — zapytała Helen.

— Tak — odparł zwięźle, skoncentrowany na prowadzeniu hipertransu.

— Ale jakiego użyjesz języka?

— Alfabetu Morse'a — powiedział. — O tutaj... to powinno wystarczyć.

Zatrzymał hipertrans i rozejrzał się dookoła. Znajdowali się na gęsto zarośniętym polu. W odległości mniej więcej kilometra pasło się spokojnie stado Robaków. Wisząca nad nimi chmura emitowała stałe przyćmione światło.

— Pomóżcie mi zwinąć dywan — poprosił Fritz.

Zaintrygowani, uklękli na podłodze i unieśli z obu stron skraj szarej wykładziny. Zwijali ją i przestawiali meble na gołą przezroczystą podłogę. Fritz stanął przy kontakcie.

— Zaczynamy — powiedział. Zgasił na chwilę światło, po czym trzykrotnie je zapalił.

Nic się nie wydarzyło.

Powtórzył sygnał. Znowu żadnej reakcji.

— Jeśli planeta jest obdarzona inteligencją, powinna rozpoznać powtarzający się wzór. Nasze światła są dość potężne... ale może zbyt słabe, żeby zauważył je tak duży mózg — oświadczył z rozczarowaną miną.

— Po czym poznasz, że rozpoznała sygnał? — zapytała Helen.

Zamiast odpowiedzi usłyszała wrzask Fritza:

— Spójrzcie!

Wszyscy zadarli głowy do góry.

Świetlna chmura trzykrotnie rozjarzyła się i przygasła.

— Widzicie? Możemy z nią porozmawiać — Fritz zapalił cztery razy światła hipertransu. Chmura odpowiedziała czterema błyskami. — Teraz musimy wymyślić jakiś wspólny język.

— Sam go wymyśl — powiedziała Helen. — Jestem zupełnie wykończona.

Siadła w fotelu, zamknęła oczy i po chwili zmorzył ją sen.

Obudził ją klekot maszyny do pisania, stojącej na biurku wuja Grigoriana. Zerknęła na zegarek. Spała przez bite pięć godzin. Obok niej skulony w fotelu chrapał cicho Baryła.

Fritz siedział przy biurku i walił dwoma palcami w klawisze. Światła hipertransu bez przerwy zapalały się i gasły. Maszyna do pisania połączona była wiązką drutu z szafką i wyłącznikiem światła, a także z jednym ze spodkowatych liści na polu.

— Co ty takiego robisz? — wymamrotała sennym głosem.

Fritz wydawał się jednocześnie bardzo zmęczony i uradowany. W bladej wymizerowanej twarzy paliły się pełne entuzjazmu oczy.

— Zaprogramowałem odpowiednio komputer — wyjaśnił, wskazując szafkę — żeby tłumaczył to, co piszę, na sygnały świetlne. Kiedy planeta chce mi odpowiedzieć, błyska chmurą. Liść na zewnątrz odbiera te błyski i przekazuje je do komputera, który wystukuje odpowiedź na maszynie.

— Czego się dowiedziałeś?

— Planeta umiera... musimy ją ratować.

Tymczasem obudził się Baryła.

— Słuchajcie — powiedział Fritz. — Miałem rację twierdząc, że planeta poszukuje słońca. Ona umiera z gło-

du: wyczerpują się jej zapasy energii. Kiedy przybyli plantatorzy i zmusili Robaki do snucia przedy w prostych liniach, podziałało to na planetę jak narkotyk. Jej umysł zasnął. Moje sygnały świetlne miały efekt podobny do brzęczenia budzika. Planeta obudziła się ze snu. Musimy poinformować o wszystkim rząd.

— Mówiłeś zdaje się, że rząd będzie chciał ją zniszczyć — powiedział Baryła.

— Zawarłem z planetą porozumienie — odparł Fritz. — Pozwoli ona plantatorom zagospodarować część swoich terenów i produkować ograniczoną ilość unilonu. Obiecałem, że rząd galaktyczny znajdzie jej w zamian jakieś słońce: takie, wokół którego nie krążą żadne zamieszkałe planety.

— W ten sposób zadowoleni będą zarówno plantatorzy, jak i planeta. Poprawi się nawet sytuacja producentów unilonu na innych planetach, ponieważ dostawy z Planety Robaków nie będą zaspokajały całego zapotrzebowania na to tworzywo. Unilonu używa się do produkcji mnóstwa rzeczy: ubrań, maszyn i tak dalej. Producenci wciąż będą mogli osiągać zyski.

— To wspaniałe rozwiązanie — stwierdziła Helen.

— Obawiam się jednak, że spóźnione — powiedział Baryła. — Spójrzcie tam.

Po drugiej stronie pola, w odległości około dwóch kilometrów, posuwał się w ich stronę szereg elektrycznych samochodów. Nagle z jednego błysnął jaskrawy promień, który wypalił całe pasmo roślinności.

— To plantatorzy! Atakują nas! — zawołał Fritz.

— Startujemy, szybko! — krzyknął Baryła.

— Nie możemy. Przeprogramowałem komputer. Pownowne przystosowanie go do lotu zajmie całe wieki.

Nagle maszyna zaczęła stukać. Dzieci podbiegły do biurka, żeby zobaczyć wydruk. CO TO BYŁO — pytała planeta. Fritz zastanawiał się przez chwilę, po czym wystukał: ZOSTALIŚMY ZAATAKOWANI

— Nie doszliśmy jeszcze do znaków przestankowych — wyjaśnił. Maszyna stukała dalej.

KTO ATAKUJE PLANTATORZY
UNILONU CZY MOŻECIE ODEPRZEĆ ICH
ATAK NIE

Maszyna umilkła. Z samochodów błysnęły kolejne promienie, które wypaliły roślinność bliżej hipertransu.

— Co takiego robią Robaki? — zapytał Baryła.

Wszyscy spojrzeli w bok. Stado Robaków, które przed chwilą jeszcze spokojnie gryzły liście, wyraźnie się ożywiło. Wielkie gąsienice poruszały się chaotycznie przez kilkanaście sekund, a potem dzieci zobaczyły, że formują linię.

Bestie ruszyły ociężale w stronę plantatorów.

Napastnicy zaczęli strzelać w ich stronę, ale chociaż niektóre promienie dochodziły celu, Robaki wyraźnie nie zwracały na nie uwagi.

Część elektrycznych samochodów zatrzymała się; potem zrobiła to reszta.

Prowadzący szarżę Robak dotarł do pierwszego pojazdu. Dzieci zobaczyły z daleka, jak otwiera się jego wielka paszczyka. Bestia połknęła cały samochód i ruszyła dalej.

Pozostali plantatorzy zawrócili i zaczęli uciekać.

— Kurczę blade! — zawołał Fritz.

Nagle pojawił się obok nich inny hipertrans. Wyskoczył z niego wujek Grigorian. Helen podbiegła i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Co za szczęście, że tutaj jesteś! — zawołała, wybuchając płaczem.

— No, no — uspokajał ją wujek. — Odnalezienie waszej trójki zajęło nam masę czasu, słowo daję. Na galaktykę! Co takiego mieliście zamiar zrobić?

Znajdowali się z powrotem na sali wysłanej czerwonym dywanem i ozdobionej obrazami. Po posiłku, kąpieli, nocnym wypoczynku i kolejnym posiłku czuli się jak nowo narodzeni. Helen zupełnie zapomniała o gulaszu •z Robaków.

— Pragnę was z radością zawiadomić, że plantatorzy i producenci unilonu zaakceptowali kompromis wynegocjowany przez Fritza — powiedział Swen Harliss. — Zespół naukowców rozmawia w tej chwili z planetą. Korzystają z bardzo pomysłowego systemu łącznościwego, który zainstalowaliście w waszym hipertransie. Mają nadzieję, że wiele się dowiedzą.

Nasi astronomowie znaleźli tymczasem słońce, na którego orbicie można umieścić Planetę Robaków. — Dotknął palcem mapy gwiazdnej leżącej na stole. — To tutaj, w Sektorze Parmicznym. Można się tam dostać, nie zbliżając się na niebezpieczną odległość do innych układów słonecznych. Wokół słońca krążą już dwie planety, ale na żadnej nie ma atmosfery, a więc i życia. Wasze zadanie skończone i muszę przyznać, że wykonaliście je doskonale. Na co macie teraz ochotę?

Dzieci popatrzyły po sobie, a potem na wujka Grigoriana.

— Czy możemy wrócić do domu? — zapytał w imieniu całej trójki Baryła.

Był wczesny ranek, kiedy wrócili na farmę. Pani Rhys przygotowała jak zwykle obfite śniadanie.

Siedząc w swojskim otoczeniu w kuchni nie mogli się oprzeć wrażeniu, że to, co przeżyli w ciągu ostatnich kilku dni, po prostu im się przyśniło. Baryła głąskał co jakiś czas zwierzokulkę, tak jakby chciał utwierdzić się w przekonaniu, że wszystko to zdarzyło się naprawdę.

— Oczywiście już na zawsze zachowacie swoją Moc — oświadczył, zapalając fajkę, wujek Grigorian. — Korzystając z niej, będziecie musieli się zachowywać naprawdę mądrze. — Przerwał i przez chwilę-puszczał kłęby dymu. — Myślę jednak, że w ciągu ostatniego tygodnia bardzo wydośleliście.

Ty, Fritz, musisz być bardzo ostrożny we wszelkiego rodzaju grach. Jeśli będziesz zawsze wszystkich pokonywał, woda sodowa uderzy ci do głowy. A nikt nie lubi zarozumialców. Więc przegraj od czasu do czasu w szachy, po prostu żeby ludzie nie nabrali podejrzeń.

Ty, Helen, nauczyłaś się odgadywać, co się dzieje w ludzkich umysłach. Taka wiedza nie zawsze jest przyjemna. Dowiesz się, jak podli czasami potrafią być ludzie. Mimo to staraj się traktować ich z sympatią.

Nie wiem, Baryło, co masz zamiar zrobić z Globem. Nie przypuszczam, żeby pozwolono ci zabierać go ze sobą do szkoły. Ale nawet w domu będzie szczęśliwy,

jeśli tylko zobaczysz się z nim co wieczór. Postaw go na półce w swojej sypialni i mów ludziom, że to ozdoba.

Wszyscy troje pokiwali z powagą głowami. Jak na wuja Grigoriana było to całkiem długie przemówienie.

— Znakomicie — powiedział i poważną minę na jego twarzy zastąpił znany figlarny uśmiech. — Co macie dzisiaj ochotę robić?

— Co powiesz na kolejną lekcję jazdy? — zapytał Fritz.

Z jakiegoś powodu wuj Grigorian uznał jego propozycję za bardzo śmieszna. Zanosił się śmiechem tak długo, aż zgasła mu fajka.

Spis treści

Rozdział pierwszy — Tajemniczy wujek.....	5
Rozdział drugi — Niezła farma... niezły farmer!.....	13
Rozdział trzeci — Moc	22
Rozdział czwarty — Skok w nadprzestrzeń.....	34
Rozdział piąty — Wojna na Planecie Robaków	42
Rozdział szósty — Nocny lot	53
Rozdział siódmy — Skąd się biorą trzęsienia ziemi?	62
Rozdział ósmy — I wilk syty, i owca cała.....	69